Stephen Marlowe (Milton Lesser)[1]

Rekrutacja dla Andromedy

(Recruit for Andromeda)

Ace Books, 1959, wersja mag. “Voyage to Eternity”, Imagination SF, July 1953

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the novel "Recruit for Andromeda" by Stephen Marlowe, first publication Ace Books, 1959, published by Project Gutenberg, November 13, 2015 [EBook #50449].
According to the included copyright notice: "Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed".
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

[1] Autor zmienił sądownie imię i nazwisko z Miltona Lessera na Stephena Marlowe’a.

Rozdział 1

Kiedy pierwsze silne promienie słoneczne maja pokryły zielenią zadrzewione aleje Center City, rozpoczęły się zamieszki.

Ludzie gromadzili się w gniewnych grupkach przed ratuszem, spotykali się w parku, zaśmiecając jego alejki gazetami oraz czasopismami, połykając w szaleńczym tempie komentarze redakcyjne; przemykali w nocnych ciemnościach bocznymi uliczkami, snując różne plany z wściekłą bezsilnością. Policjanci z Center City wiedzieli kiedy lepiej nie rzucać się w oczy: ich uniformy reprezentowały wszystko, co w tym czasie było kwestionowane, i mogły stać się celem pałek, kamieni, szyderstw, gróźb, nieprzyjemnych spojrzeń – i noży.

Ale Center City, podobnie jak większość społeczności w Zjednoczonej Ameryce Północnej, przetrwało podobne zamieszki już wcześniej i przeżyje je ponownie. Na podstawie przebiegu minionych, można było również oszacować szkody. Dwieście pięćdziesiąt siedem szyb okiennych zostanie wybitych, trzysta dwanaście kończyn złamanych. Kilka tysięcy ludzi zostanie poddanych leczeniu z powodu drobnych siniaków i otarć, Center City otrzyma połowę tej liczby, odszkodowań za zniszczenia. Cała lista została sporządzona jasno i dokładnie; prawie nigdy nie było różnic w stosunku do niej.

Ale Center City wypełni swój limit. Oczywiście towarzyszyć temu będzie demonstracja niechęci. Zdrowy, przyjęty sposób na pokonanie traumy społecznej, raz na siedemset osiemdziesiąt dni.

— **W**yłącz to, Kit. Kit, proszę.

Telio ryczało tanio kobiecym głosem:

— Och, to długa droga donikąd, na zawsze. A twój ukochany nie wróci, nigdy, nigdy, nigdy… — Zawodząca trąbka miała reprezentować lot.

— Wykorzystują wszystko, Kit.

— To tylko piosenka.

— Wyłącz to, proszę.

Christopher Temple z uśmiechem wyłączył telio.

— Ogłoszą nazwiska za dziesięć minut — powiedział i poczuł, jak kąciki ust napinają się mu.

— Powiedz mi jeszcze raz, Kit — błagała Stephanie. — Ile masz lat?

— Wiesz, że mam dwadzieścia sześć lat.

— Dwadzieścia sześć. Tak, dwadzieścia sześć, więc jeśli nie wezwą cię tym razem, będziesz bezpieczny. Bezpieczny, ledwie w to mogę uwierzyć.

— Dziewięć minut — powiedział Temple w ciemności.

Stephanie wcześniej zaciągnęła rolety i włączyła dźwiękoszczelność. Z ulicznej wrzawy nie docierał do nich nawet najsłabszy szmer. Ale piosenka, która na krótko stawała się masochistycznie popularna co dwa lata i dwa miesiące, zniszczyła ich poczucie prywatności.

— Powiedz mi to jeszcze raz, Kit.

— Co.

— Wiesz, co.

Pozwolił by do niego podeszła, przytuliła się zaciekle i wypłakała na jego piersi. On pozostał bierny, chociaż go to bolało, od czasu do czasu głaszcząc tylko jej włosy. Nie mógł zaangażować się przez kolejne – spojrzał na pasek chrono – przez kolejne osiem minut. Gdyby to zrobił, mógłby tego potem żałować przez całe życie.

— Powiedz mi, Kit.

— Ożenię się z tobą, Steffy. Za osiem minut, już nawet mniej niż osiem minut, zejdę na dół i odbiorę licencję. Pobierzemy się, gdy tylko będzie to legalne.

— To ostatni raz, kiedy będziesz musiał ryzykować? To znaczy, jeśli nie zmienią prawa?

Temple pokręcił głową.

— Nie muszą. W ten sposób i tak osiągną swój limit.

— Boję się.

— Ty i wszyscy pozostali w Ameryce Północnej, Steffy.

Zadrżała oparta o niego.

— Zimno, jak na czerwiec.

— Tutaj jest ciepło.

Pocałował jej wilgotne oczy, nos, usta.

— O Boże, Kit. Pięć minut.

— Pięć minut do wolności — oznajmił żartobliwie. Wcale tak się nie czuł. Niepokój zaciskał się na jego klatce piersiowej mocnymi, bolesnymi kleszczami, niemal utrudniając mu oddychanie.

— Włącz to, Kit.

Wybrał telio akurat w samą porę, by zobaczyć nieszczery uśmiech spikera. Uśmiech numer siedemnaście, pomyślał kwaśno Kit. Ofiara patriotyczna.

— Co siedemset osiemdziesiąt dni — oznajmił spiker — dwustu młodych ludzi z Center City jest wybieranych, aby służyć swojemu krajowi przez nieokreślony czas, ściśle regulowany przez system rotacyjny.

— Kłamca! — wykrzyknęła Stephanie. — Nikt z nich nigdy nie wraca. Minęło już trzydzieści lat od chwili wyboru pierwszej grupy i żaden z nich…

— Ćśś — Temple uniósł palec do ust.

— To już trzynaste wezwanie od czasu powstania czegoś, co jest popularnie określane jako „Podróż Donikąd” — mówił dalej spiker. — Oczywiście tych dwustu młodych mężczyzn z Center City i tysiące z całej półkuli, w rzeczywistości nie wyruszą w żadną podróż donikąd. To określenie jest zupełnie bezsensowne.

— Brawo dla niego — zaśmiał się Temple.

— Chciałabym, żeby miał rację.

— Nie, panie i panowie, używamy słowa tylko „donikąd” tylko dlatego, że nie znamy ostatecznego celu ich podróży. Ze względów bezpieczeństwa nie można…

— Tak, tak — rzuciła niecierpliwie Stephanie. — No, dalej.

— ...stąd właśnie Podróż Donikąd. Przy maksymalnych zabezpieczeniach całego projektu, nie wiemy nawet dlaczego nasza młodzież jest wysyłana, ani przy pomocy jakich środków. Wiemy tylko, że udają się gdzieś, a nie „nigdzie”, odważnie i bez strachu, w celu niezbędnym dla bezpieczeństwa naszego narodu, a nie po to, by ugasić czyjeś pragnienie gry na szachownicy pułków i dywizji.

— Jeśli wkład City Center pomaga w utrzymaniu siły naszego kraju, to Center City w naturalny sposób jest zobowiązane...

— Nikt nigdy nie mówił, że to nie jest nasz obowiązek — argumentowała Stephanie, jakby spiker rzeczywiście mógł ją usłyszeć. — Szkoda tylko, że nic o tym nie wiemy – i chcielibyśmy, żeby to nie trwało wiecznie.

— To nie trwa wieczne — przypomniał jej Temple. — Nie oficjalnie.

— Oficjalnie, no dajże spokój. Jeśli oni nigdy nie wrócą, to nigdy nie wrócą. Jeśli system rotacji jest tylko na papierze i nigdy nie jest używany, to w ogóle nie ma żadnego systemu rotacji. Kit, to jest na zawsze.

— ...aby podziękować następującym sponsorom za poświęcenie ich czasu...

— Nikt nie chciałby sponsorować czegoś takiego — szepnął wesoło Temple.

— Kit — stwierdziła Stephanie, — ja… nagle nabrałam przeczucia, że nie mamy się czym martwić. Tyle razy cię pomijali i dzisiaj też tak będzie. Ostatni raz, a potem będziesz już za stary. To zabawne, za stary w wieku dwudziestu sześciu lat. Ale będziemy wolni, Kit. Wolni.

— Zaczyna się — zauważył Temple.

Wielki bęben wypełnił cały ekran telio. Obracał się powoli od dołu do góry. Po dwudziestu sekundach pojawiła się litera A, a po niej kilkanaście nazwisk. Abercrombie, Harold. Abner, Eugene. Adams, Gerald. Smutek w domu Abercrombie. Rozpacz u Abnerów. Czarny dzień dla Adamsa.

Bęben obrócił się.

— Teraz są na F, Kit.

Fabian Gregory G…

Nazwiska krążyły po bębnie wolno, żywa lepka alfabetyczna zupa. Pozbawione znaczenia, chyba że kogoś się znało.

— Kit, znałam Thomasa Mulvany’ego.

N, O, P...

— Strasznie tu gorąco.

— Myślałem, że jest ci zimno.

— Teraz niemal mi duszno.

R, S...

— T! — Stephanie wrzasnęła, gdy z dna bębna zaczęły powoli wypływać kolejne nazwiska.

Tabor, Tebbets, Teddley...

Usta Temple'a wyschły jak kłębek waty. Stephanie zaśmiała się nerwowo. Teraz – albo nigdy. Nigdy?

Teraz.

Stephanie rozpaczliwie jęknęła.

TEMPLE, CHRISTOPHER.

— **P**rzepraszam, jestem spóźniony, panie Jones.

— Niemalże nie, panie Smith. Niemalże nie. Trzy minuty.

— Przyszedłem w odpowiedzi na pańską reklamę.

— Wiem. Wygląda pan staro.

— Mam ponad dwadzieścia sześć lat. Ma pan coś przeciwko temu?

— Nie, jeśli pan nie ma, panie Smith. Proszę pozwolić, że się panu przyjrzę. Hmm, wydaje się pan mieć odpowiedni wzrost, właściwą budowę.

— Dokładnie spełniam specyfikacje.

— Dobrze, panie Smith. I pańska cena.

— Żadnych targów — stwierdził Smith. — Mam cenę, która musi zostać przyjęta.

— Pańska cena, panie Smith?

— Dziesięć milionów dolarów.

Człowiek o nazwisku Jones zakaszlał nerwowo.

— To dużo.

— Bardzo. Proszę przyjąć, albo odrzucić.

— W gotówce?

— Zdecydowanie. Drobne, nieoznakowane banknoty.

— Potrzebowałby pan furgonetki!

— A więc, będę ją miał.

— Dziesięć milionów dolarów — powtórzył Jones, — to niezła cena. Wprawdzie wcześniej nigdy nie miałem do czynienia z tego rodzaju transakcją, ale…

— Ale nic. Gdyby pańskie nazwisko brzmiało naprawdę i faktycznie Jones, pewnie poprosiłbym o mniej.

— Słucham?

— Pan nazywa się Jones dokładnie tak samo, jak ja nazywam się Smith.

— Słucham? — znowu wykrztusił Jones.

Smith dyskretnie zakaszlał.

— Ale ja mam jedną przewagę. Znam pana. Pan mnie nie zna, panie Arkalion.

— Co? Co?

— Arkalion. Północnoamerykański król dywanów. Zgadza się?

— Skąd pan wiedział? — człowiek, którego nazwisko nie brzmiało Jones, lecz Arkalion, zapytał człowieka, który nie nazywał się Smith, lecz równie dobrze mógł nim być.

— Kiedy zobaczyłem pańską reklamę — wyjaśnił nie-Smith, — powiedziałem sobie: „ten tutaj, to musi być bardzo bogaty, wpływowy

człowiek”. Pozostało mi tylko przejrzeć serię łatwo dostępnych fotografii – mam do tego doskonałą pamięć, panie Arkalion – i proszę bardzo, oto pan Arkalion, Król Dywanów.

— Co pan zrobi z dziesięcioma milionami dolarów? — dopytywał się Arkalion, nie zwracając uwagi na wydatek niemal tak duży, jak całkowite rozdysponowanie swojej fortuny.

— No cóż, a co można zrobić z dziesięcioma milionami dolarów? Zdeponować je, zainwestować, wydać.

— Chodzi mi o to, co pan z tym zrobi, jeśli ma pan zamiar pójść w miejsce mojego… — Arkalion ugryzł się w język.

— Pańskiego syna, chciał pan powiedzieć, panie Arkalion? Alarica Arkaliona Trzeciego. Czy wie pan, że byłem w stanie zredukować swoją listę ludzi do trzydziestu, kiedy przestudiowałem ich więzi rodzinne?

— Genialnie, panie Smith. Alaric jest taki młody…

— Czyż oni wszyscy nie są? Od dwudziestu jeden do dwudziestu sześciu lat. Kto to był, ten co kiedyś powiedział coś o kwiecie naszej młodej męskości?

— Szekspir? — zaproponował pan Arkalion, zdając sobie sprawę, że większość cytatów o utrwalonym znaczeniu pochodziła od Barda.

— Sofokles — poprawił Smith. — Ale nieważne. Zajmę miejsce młodego Alarica za dziesięć milionów dolarów.

Motywy zawsze interesowały pana Arkaliona i dlatego kontynuował tę, jak mogło się okazać, bardzo niebezpieczną rozmowę.

— Nigdy nie będzie miał pan okazji wydać tych pieniędzy w czasie Podróży Donikąd.

— Proszę pozwolić, że to ja się będę tym martwił.

— Nikt nigdy stamtąd nie wrócił.

— To moje zmartwienie, a nie pańskie.

— To jest na zawsze, tak jakby człowiek przestał istnieć. Alaric jest taki młody.

— Panie Arkalion, ja zawsze lubiłem hazard. Jeśli nie wrócę w ciągu pięciu lat, ma pan wpłacić pieniądze do funduszu powierniczego dla określonych, wyznaczonych osób. Wspomniany fundusz ma zostać zamknięty w momencie mojego powrotu. A więc, jeśli wrócę w ciągu pięciu lat, ma pan tylko dać mi pieniądze. Czy to jasne?

— Tak.

— Oczywiście, będę chciał to na piśmie.

— Oczywiście. Chirurg plastyczny będzie tu za około dziesięć minut, panie Smith, i zdołamy sobie z tą sprawą poradzić… Ale skoro nie znam pańskiego nazwiska, to jak mogę to zapisać na piśmie?

Smith uśmiechnął się.

— Na tę okazję zmieniłem swoje nazwisko na Smith. Całkowicie legalne. Nazywam się John N. Smith – przynajmniej teraz!

— I tu się pan myli — stwierdził pan Arkalion, gdy wszedł chirurg plastyczny. — Teraz nazywa się pan Alaric Arkalion III.

Chirurg plastyczny krążył wokół Smitha, drobiazgowo badając go ze swobodną fachowością, która przychodzi z doświadczeniem.

— Muszę skrócić kości policzkowe.

— Za dziesięć milionów dolarów — odparł Smith, — może pan wyciąć te cholerstwa zupełnie i powiesić je sobie na ścianie.

Zofia Androwna Pietrowicz przedarła się do centrum miasta przez tłumy zmęczonych robotników i sporadyczne grupki towarzyszy. Przed budynkiem przy Alei Stalina 616 zgasiła pod butem ersatz papierosa, zatrzymała się na pięć uderzeń serca przy drzwiach i weszła do środka.

— Czego chcecie? — Człowiek za biurkiem miał słaby wzrok i byczy kark.

Zofia pokazała swoją legitymację partyjną.

— Och, towarzyszko. Jednak, mimo wszystko jesteście kobietą.

— Jesteście strasznie spostrzegawczy, towarzyszu — oznajmiła chłodno Zofia. — Przyszłam tutaj, żeby zgłosić się jako ochotniczka.

— Ale jesteście kobietą.

— Nie ma w przepisach niczego, co by mówiło, że kobieta nie może zgłosić się na ochotnika.

— Nie zmuszamy kobiet do zgłaszania się na ochotnika.

— Chodziło mi o prawdziwą ochotniczkę, z własnej woli.

— Z własnej woli? — Człowiek o byczym karku zdjął okulary, podrapał się po łysiejącej głowie ich końcami na uszy. — Macie na myśli ochotniczkę bez…

— Bez przymusu. Chcę się zgłosić na ochotniczkę. Przyszłam tutaj, żeby się zgłosić. Chcę się zapisać na następny Stalintrek.

— Na Stalintrek, kobieta?

— To właśnie powiedziałam.

— Nie zmuszamy kobiet do zgłaszania się na ochotnika. — Człowiek podrapał się jeszcze trochę.

— Och, naprawdę? — powiedziała Zofia. — To jest rok 1992, a nie połowa wieku, towarzyszu. Czyż Stalin nie powiedział: „Kobieta została stworzona, aby dzielić chwalebne przeznaczenie Matki Rosji ze swoim towarzyszem?” — Zofia ukuła cytat na poczekaniu.

— Tak, jeśli Stalin tak powiedział…

— Powiedział.

— Ciągle nie przypominam sobie…

— Co? — wykrzyknęła Zofia. — Stalin umarł trzydzieści dziewięć lat temu, a wy nie pamiętacie jego przemówień? Jak się nazywacie, towarzyszu?

— Proszę, towarzyszko. Teraz, kiedy mi przypomnieliście, już pamiętam.

— Jak się nazywacie.

— Tutaj, daję wam do podpisania papiery zgłoszenia na ochotnika. Jeśli zdacie egzaminy, weźmiecie udział w następnym Stalintreku, chociaż dlaczego taka piękna młoda kobieta jak wy…

— Zamknijcie się i dajcie mi te papiery.

Ten siedzący za biurkiem człowiek trafił precyzyjnie w samo sedno: dlaczego. Dlaczego ona, Zofia Androwna Pietrowicz, miałaby chcieć zgłosić

się na ochotnika na Stalintrek? Równie dobrze można by zapytać, dlaczego ptak odlatuje zimą na południe, na dzień przed pierwszą lodowatą wichurą. Albo dlaczego leming lekkomyślnie rzuca się w morze, wraz z mnóstwem swych towarzyszy, jeśli rzeczywiście to przedsięwzięcie musiało się smutno skończyć.

Ale tu, za tym biurkiem, siedział właśnie jeden z tych powodów. Towarzysz. Bystry, ostry towarzysz, z widoczną głębią rozumowania, fontanną tryskających emocji, światowym charakterem. Pfuuuj!

Czuła się tak, jakby przez całe życie tkwiła w jakimś kokonie, zduszona, głodna; kokonie którego bawełniana wewnętrzna wyściółka dławiła ją za każdym razem, gdy otwierała usta, a skórzaste zewnętrzne pokrycie przytrzymywało ją, gdy próbowała się poruszać. Nikt jeszcze nie wrócił ze Stalintreku. Musiała więc założyć, że nikt tego nie zrobi. W tym także i ona, Zofia Androwna Pietrowicz. Ale z drugiej strony nie było nic, co mogłaby przez to utracić, niczego, do czego szczególnie chciałaby wrócić. Ani surowe, ohydne ulice Stalingradu, ani robotnicy z tępymi twarzami, ani towarzysze z ich ostrożnym, nerwowym, tchórzowskim, przerażonym brakiem umiejętności podjęcia jakiejkolwiek decyzji, ani wyżsi rangą towarzysze, jeszcze bardziej przestraszeni, ale słabiej to okazujący, którzy pokochaliby piękno jej piersi i lędźwi, ale nie ją samą, ponieważ nigdy nie kocha się niczego poza stalinizmem i samą Matką Rosją; nie te przerażone, ściśle przestrzegające zasad marionetki, które pokochałyby jej ciało, gdyby się na to zgodziła, ale nie ją samą ani też jakąkolwiek inną osobę, jeśli już o tym mówimy.

Ze Stalintrekem nie w porządku była tylko sama jego nazwa, nazwa związana ze wszystkim innym w Rosji z oczywistych poststalinowskich powodów. Ale wszystko inne w Stalintreku pachniało tajemnicą i przygodą. Dokąd się udasz? Jak się tam dostaniesz? Co będziesz robił? Dlaczego?

Miliony pytań, które nie pozwalały jej zasnąć w nocy i, jeśli myślała o tym dostatecznie długo, zaspokajały jej głęboką tęsknotę za czymś innym. A potem, pewnego dnia kiedy stateczna pani Iwanowna-Rasnikow powiedziała: „To żart, okropny, straszliwy żart, że zabierają mojego męża Fiodora na Stalintrek, podczas gdy jemu brakuje wyobraźni, aby pojechać stąd do Leningradu, czy nawet do Tuły. Czy potrafisz sobie wyobrazić Fiodora na Stalintreku? Powinni mnie zabrać. Lepiej by było, gdyby zabrali jego żonę, a nie jego.” Tego dnia Zofia z trudem mogła się powstrzymać.

Jako członkini partii miała dostęp do przepisów i przeczytała je trzykrotnie od deski do deski (w swoim obskurnym mieszkaniu przy świetle dymiącej, cuchnącej świecy z miękkiego wosku), ale nie udało jej się znaleźć niczego, co wykluczałoby kobiety ze Stalintreku.

Fiodor Rasnikow zgłosił się na ochotnika? Naturalnie. Wszyscy zgłaszali się na ochotnika, chociaż kiedy wywołano czyjeś nazwisko, nie miał on wyboru. W Rosji nie było poboru do wojska od czasów Drugiej Wojny Ludowo-Wyzwoleńczej. Ochotnik? Co dokładnie oznaczało to słowo?

Ona Zofia Androwna Pietrowicz zgłosiła się na ochotnika, nie wzywana. W ten sposób znalazła się przy Alei Stalina 616 i tak łysiejący, krótkowzroczny towarzysz pchnął jej papiery przez biurko.

Napisała swoje nazwisko z taką gwałtownością i zaciekłością, że omal nie przedarła się przez papier.

Rozdział 2

W *zatłoczonym, wypełnionym dymem pomieszczeniu, siedzi trzydziestu paru ludzi. Niektórzy piją piwo, inni przysiedli w zadumanym milczeniu, inni rozmawiają w ożywiony sposób o niczym specjalnie pilnym. Przy jedynych niewielkich drzwiach dwóch strażników krąży powoli tam i z powrotem, wywołując delikatne kołysanie wzorów pasemek dymu w zamglonym pomieszczeniu. Strażnicy w prostych wojskowych mundurach, noszą małą, śmiercionośną broń.*

PIERWSZY CZŁOWIEK: Walczyć z ratuszem? Żartujesz? Dopadli cię, kolego. Nie próbuj z tym walczyć, wiem to. Wiem.

DRUGI CZŁOWIEK: Mówię wam, w rejestrach był błąd. Mam ponad dwadzieścia sześć lat. Dwa tygodnie i dwa dni. Napisałem już do mojego kongresmana. Do diabła, dlatego głosowałem na niego, lepiej niech się za mną wstawi.

TRZECI CZŁOWIEK: A ty myślisz, że to coś specjalnego? Nie byłoby mnie tutaj, tylko ci lekarze kompletnie poszaleli. Naprawdę, oszaleli. Ja mam cystę wielką jak piłeczka golfowa, u podstawy kręgosłupa.

PIERWSZY CZŁOWIEK: Ten też. Nie próbuj z nimi walczyć.

CZWARTY CZŁOWIEK (Świeżo nazwany Alaricem Arkalionem III): Patrzę na naszą przyszłość, jakby to była stymulująca przygoda. Czy fakt, że wybierają ludzi do Podróży Donikąd raz na siedemset osiemdziesiąt dni, nie wydaje się komuś znaczący?

DRUGI CZŁOWIEK: Mam własne problemy.

ALARIC ARKALION: To nie jest problem egzystencjalny, młody człowieku. W ogóle nie chodzi o egzystencję.

TRZECI CZŁOWIEK: Młody człowieku? Żartujesz sobie?

ALARIC ARKALION: (który uświadamia sobie, że dzięki chirurgowi plastycznemu wygląda na najmłodszego ze wszystkich, ze swymi rumianymi policzkami i puszkiem pod nosem) To problem intelektu. Dlaczego siedemset osiemdziesiąt dni?

PIERWSZY CZŁOWIEK: Ja też przeczytałem magazyn, szefie. Myślisz, że wszyscy lecimy na planetę Mars. Jak oryginalnie.

ALARIC ARKALION: Prawdę mówiąc, to dokładnie tak właśnie myślę.

DRUGI CZŁOWIEK: Mars?

PIERWSZY CZŁOWIEK: (ze śmiechem) Z Marsa do ratusza, to długa droga, stary.

DRUGI CZŁOWIEK: Masz na myśli lot kosmiczny na Marsa?

ALARIC ARKALION: Dokładnie, dokładnie. W przeciwnym razie byłby to całkiem niezły zbieg okoliczności.

PIERWSZY CZŁOWIEK: Ty mi powiedz.

ALARIC ARKALION: (chłodno) Czy zechciałbyś to wyjaśnić?

PIERWSZY CZŁOWIEK: Czemu nie, oczywiście. Widzisz, Mars jest ... ech, nie chciałbym ukraść twojej bomby, szefie. Śmiało.

ALARIC ARKALION: Raz na siedemset osiemdziesiąt dni Mars i Ziemia znajdują się w tej samej pozycji orbitalnej względem Słońca. Innymi słowy, Mars i Ziemia są wtedy najbliżej. Gdyby istniało coś takiego jak loty kosmiczne, nowe, kosztowne, nie do końca sprawdzone, chcieliby, aby każda podróż była jak najkrótsza. Stąd siedemset osiemdziesiąt dni.

PIERWSZY CZŁOWIEK: Nieźle, szefie. Załapałeś większość tego.

TRZECI CZŁOWIEK: Nikt nigdy, nic nie mówił o lotach kosmicznych.

PIERWSZY MĘŻCZYZNA: Myślisz, że będziemy o tym nadawać przez radio czy coś, głupku? To część dużego, ważnego eksperymentu naukowego, a my jesteśmy tylko królikami doświadczalnymi.

ALARIC ARKALION: To śmieszne. Zapominasz o zimnej wojnie.

PIERWSZY CZŁOWIEK: On myśli, że toczymy wojnę z Marsjanami. (Śmiechy) Tak jak u Orsona Wellesa, co?

ALARIC ARKALION: Z Rosjanami. Rosjanie. Zbudowaliśmy bombę A. Oni zbudowali bomby A. Wymyśliliśmy bombę wodorową. Oni też to zrobili. Umieściliśmy stację kosmiczną w jednej piątej drogi do Księżyca. Tak samo oni. Potem – ani słowa więcej o rozwoju naukowym. Od ponad dwudziestu lat. Pytam was, czy nie wydaje się to dziwne?

PIERWSZY CZŁOWIEK: On mówi, dziwne.

ALARIC ARKALION: Dziwne.

DRUGI CZŁOWIEK: Chciałbym, żeby mój kongresman...

PIERWSZY CZŁOWIEK: Ty i twój kongresman. Sposób, w jaki mówisz, to przecież twój głos dał mu urząd.

DRUGI CZŁOWIEK: Gdybym tylko mógł stąd wyjść i porozmawiać z nim.

ALARIC ARKALION: Nikomu nie wolno wychodzić.

PIERWSZY CZŁOWIEK: Grozi za to kara więzienia, jak mówi prawo.

DRUGI CZŁOWIEK: O tak? Więzienie, srężenie. Albo wyślą w Podróż Donikąd. Cóż, ja nie widzę różnicy.

PIERWSZY CZŁOWIEK: No to, śmiało. Spróbuj uciekać.

DRUGI CZŁOWIEK: (patrząc na strażników) I tak by mnie dostali. Wszędzie. Myślę, że nawet nasza poczta jest ocenzurowana.

ALARIC ARKALION: Bo jest.

DRUGI CZŁOWIEK: Niech lepiej uważają. Tracę cierpliwość. Staję się agresywny, kiedy stracę cierpliwość.

PIERWSZY CZŁOWIEK: Widzisz? Zobacz, nasi strażnicy trzęsą się jak osika.

DRUGI CZŁOWIEK: Bardzo zabawne. Może nie miałeś dobrej pracy albo czegoś podobnego. Może cię to nie obchodzi. Mnie obchodzi. Miałem pracę z przyszłością. Nie płacili dużo, ale miałem prawdziwie świetlane perspektywy. A oni wysyłali mnie Donikąd.

PIERWSZY CZŁOWIEK: Jeszcze tam nie dotarłeś.

DRUGI CZŁOWIEK: Taaa, ale powoli zmierzam.

TRZECI CZŁOWIEK: Gdyby tylko dali ci znać, kiedy. Moje plecy mnie wykańczają. Czekam, żeby zgłosić chorobę. Tylko czekam, to wszystko.

PIERWSZY CZŁOWIEK: Śmiało, czekaj sobie. Wiele ci to da.

TRZECI CZŁOWIEK: Pilnuj swojego nosa.

PIERWSZY CZŁOWIEK: Pilnuję, stary. To ty podniosłeś tę sprawę.

DRUGI CZŁOWIEK: On naprawdę szuka kłopotów.

TRZECI CZŁOWIEK: Znajdzie je.

ALARIC ARKALION: Spędzimy razem wiele czasu. Bardzo wiele. Dlaczego wszyscy nie wyluzujecie?

DRUGI CZŁOWIEK: Pilnuj swojego nosa.

PIERWSZY CZŁOWIEK: Świry, prawda? Kompletnie powariowali. I jeszcze ta choroba.

DRUGI CZŁOWIEK: Patrzcie, jak mu to przeszkadza. Był jedną wielką porażką. Po prostu to widać. Co go to obchodzi, że odejdzie stąd na zawsze i już nie wróci? Jeden żłób jest równie dobry jak każdy inny.

PIERWSZY CZŁOWIEK: Ha-ha.

DRUGI CZŁOWIEK: Tak, dokładnie to mam na myśli. Na zawsze. Gdzieś nas wywożą, w jakieś miejsce, na zawsze. Nigdy nie wrócimy. Nikt nie wraca. To na dobre, na zawsze.

PIERWSZY CZŁOWIEK: Powiedz to swojemu kongresmanowi. A może też chcesz zgłosić, że jesteś chory?

TRZECI CZŁOWIEK: (Zadaje cios Pierwszemu Człowiekowi, który zaskoczony uderza się o stół i upada na podłogę) To nie jest gra, cholera jasna!

STRAŻNIK: Dobra, koniec z tym. No dalej, przerwać to...

ALARIC ARKALION: (do siebie) Szkoda, że nie zobaczyłem tych dziesięciu milionów dolarów wcześniej – jeśli w ogóle kiedykolwiek je zobaczę.

Jechali godzinami w świeżym wiejskim powietrzu, czując wiatr na twarzach, nasłuchując ryku ich naziemnego odrzutowca, który samotnie mknął po prowadzącej skrajem przepaści autostradzie.

— Dokąd idziemy, Kit?

— Sam nie wiem. Po prostu jadę.

— Cieszę się, że tym razem pozwolili ci wyjść. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby się nie zgodzili. Musiałam cię jeszcze raz zobaczyć. Ja...

Temple uśmiechnął się. Sam się zwolnił, bez pozwolenia. Było to dosyć trudne i mógł jeszcze dostać za to po uszach, ale martwienie tym Stephanie nie miałoby sensu.

— To tylko na kilka godzin — powiedział.

— Godziny. Kiedy my chcemy całego życia. Kit. Och, Kit, dlaczego nie uciekniemy? Tylko my dwoje, gdzieś, gdzie cię nigdy nie znajdą. Mogę się spakować i będę gotowa, i…

— Nie mów tak. Nie możemy.

— Ty chcesz wyjechać tam, gdzie cię wysyłają. Chcesz odejść.

— Na miłość Boską, jak możesz tak mówić? Nie chcę nigdzie odchodzić, chyba że razem z tobą. Ale nie możemy uciec, Steffy. Muszę się z tym zmierzyć, cokolwiek by to nie było.

— Nie, nie. To szlachetna rzecz, być patriotą, pewnie. Zawsze tak było. Ale to jest coś innego, Kit. Oni nie chcą części twojego życia. Nie dwu, trzech lat, i jedynie ryzyka że mógłbyś nigdy nie wrócić. Nie, żądają od was wszystkich reszty życia, chcą was zabrać na zawsze, i nawet nie mówią wam dlaczego. Kit, nie odchodź! Gdzieś się ukryjemy, pobierzemy się i ...

— I nic. — Temple zatrzymał samochód odrzutowy, wysiadł i otworzył drzwiczki Stephanie. — Nie rozumiesz? Nie ma gdzie się ukryć. Gdziekolwiek byśmy nie uciekli, oni nas znajdą. Nie chcesz spędzić reszty życia uciekając, Steffy. Ani ze mną ani z kimkolwiek innym.

— Chciałabym! Zrobiłabym to!

— I wiesz, co by się stało za kilka lat? Znienawidzilibyśmy się nawzajem. Patrzyłabyś na mnie i mówiła: „Nie musiałabym się tak chować, gdyby nie ty. Jestem młoda i…"

— Kit, to okrutne! Nigdy bym tego nie zrobiła.

— Tak, zrobiłabyś. Steffy, ja… — W gardle urosła mu gula. Musiał się z nią pożegnać, na zawsze. Musiał to zrobić w taki sposób, bo nie chciał, żeby czekała bez końca i beznadziejnie na powrót, który nigdy się nie ziści. — …nie dostałem pozwolenia na wyjście, Steffy.

Nie miał zamiaru jej tego mówić, ale nagle wydało mu się to łatwym sposobem na pożegnanie.

— Co masz na myśli? Nie, nie ...

— Musiałem cię zobaczyć. Co mi mogą zrobić, wysłać mnie na dłużej, niż na zawsze?

— W takim razie musisz ze mną uciec!

— Steffy, nie. Kiedy się rozstaniemy dziś wieczorem, Steffy, to już na dobre. Tak będzie. Ostatnie chwile z Kitem Temple. Masz przestać o mnie myśleć. Ja już nie istnieję. I nigdy mnie nie było. — Nawet dla niego zabrzmiało to absurdalnie.

— Kit, kocham cię. Kocham cię. Jakże mogłabym zapomnieć o tobie?

— To się zdarzało się już wcześniej. Wydarzy się ponownie. — To też bolało. Mówił o jakichś statystykach, a nie o sobie i Stephanie.

— Z nami jest inaczej, Kit. Będę cię zawsze kochać. I… Kit, wiem, że wrócisz do mnie. Poczekam, Kit. Jesteśmy inni. Wrócisz.

— Jak myślisz, ilu ludzi mówiło to już wcześniej?

— Ty nie chcesz wracać, nawet gdybyś mógł. W ogóle o nas nie myślisz. Myślisz tylko o swoim bracie.

— Wiesz, że to nieprawda. Czasami zastanawiam się nad Jasem, pewnie. Ale gdybym myślał, że jest szansa na powrót – jestem samolubnym uparciuchem, Steffy. Gdybym myślał, że jest szansa, to wiesz, że chciałbym cię tylko dla siebie. Wolałbym ciebie i taka jest prawda.

— Kochasz mnie!

— Kochałem cię, Steffy. Kit Temple cię kochał.

— Kochał?

— Kochał. Czas przeszły. Kiedy odejdę dziś wieczorem, to tak, jakbym już nie istniał. Jakbym nigdy nie istniał. Tak musi być, Steffy. Przez trzydzieści lat nikt nigdy nie wrócił.

— Włączając w to twojego brata, Jase'a. Więc teraz chcesz go odnaleźć. Na co ty liczysz? Co…

— To nie był mój pomysł. Chciałem zostać z tobą. Chciałem się z tobą ożenić. Teraz nie mogę. Nic z tego. Zapomnij o mnie, Steffy. Zapomnij, że mnie kiedykolwiek znałaś. Jase powiedział to samo naszym rodzicom, zanim go zabrali.

Niemal pięć lat wcześniej, Jason Temple został wybrany do Podróży Donikąd. Był młody, choć starszy od swego brata Kita. Był młody, z nikim nie związany, niemalże radosny. Oczywiście nigdy więcej go nie zobaczyli.

— Przytul mnie, Kit. Przepraszam… że tak się zachowuję.

Odeszli na pewną odległość od samochodu odrzutowego, przedzierając się przez dębowe zarośla i jeżyny. Znaleźli polanę, słodko pachnącą, o miękkim podłożu jeszcze z zeszłej jesieni, pełną melodyjnego śpiewu jakichś nieznanych ptaków. Siedzieli nie rozmawiając. Stephanie miała na sobie jasną letnią sukienkę z długą spódnicą, głęboko rozciętą pod szyją. Oparła się o niego tułowiem i położyła mu głowę na ramieniu. Czuł delikatny, słodki zapach jej włosów, skóry na karku.

— Jeśli chciałbyś się pożegnać… — zaczęła.

— Przestań — przerwał jej.

— Jeśli chciałbyś się pożegnać…

Jej głowa zsunęła się na jego pierś. Przekręciła się, ułożyła się w jego ramionach, uśmiechnęła się do niego, jeszcze trochę się obróciła i oparła mu głowę na kolanach. Uśmiechnęła się drżąco, z zamglonymi oczami. Jej usta się rozchyliły.

Pochylił się i pocałował ją, wiedząc, że to wszystko jest nie tak. To nie było pożegnanie, nie takie, jakiego on chciał. Szybko, zdecydowanie, raz na zawsze. Być może nie bez łez, nawet z dużą ilością łez. Ale ostateczne pożegnanie. To wszystko było nie tak. Wszystko miało odbyć się na chłodno, rzeczowo. Należało to zrobić w ten sposób lub wcale. Przez chwilę, pożałował opuszczenia obozu.

To nie było pożegnanie, jakiego chciał. Takie jakie być powinno. To było *auf weidersen*.

A potem zapomniał o wszystkim prócz Stephanie ....

— **J**estem Alaric Arkalion III — przedstawił się niezwykle młody mężczyzna o starych, mądrych oczach.

Jakie to niespójne, pomyślał Temple. Oczy wyglądają prawie jak u kogoś w średnim wieku. Reszta – chłopiec.

— Coś mi mówi, że będziemy często się spotykać — ciągnął Arkalion. Głos również należał jakby do starszego mężczyzny, o młodzieńczej cerze, niemal dziecięcych rysach twarzy i miękkim puchu na brodzie.

— Ja jestem Kit Temple — powiedział Temple, wyciągając rękę. — Arkalion, jakie dziwne nazwisko. Skądś je znam… Zaraz! Czy ty nie jesteś… czy nie masz czegoś wspólnego z dywanami, czy czymś takim?

— Tu i teraz, nie. Jestem po prostu numerem. A-92-6417. Ale moim ojcem jest – chociaż może lepiej powiedzieć, że był – moim ojcem jest Alaric Arkalion II. Tak, zgadza się, ten król dywanów.

— Niech to diabli — stwierdził Temple.

— Dlaczego?

— No cóż — roześmiał się Temple. — Nigdy wcześniej nie spotkałem miliardera.

— Tutaj nie jestem miliarderem, ani już nigdy nim nie będę. A-92-6417, numer. W drodze na Marsa z wieloma innymi numerami.

— Mars? Wydajesz się być pewny siebie.

— W rozsądnym zakresie. Ach, miło jest porozmawiać z dżentelmenem. Jestem całkiem pewien, że to będzie Mars.

Temple skinął głową.

— Tak właśnie twierdzą dodatki niedzielne, zgadza się.

— I zapewne zauważyłeś, że nikt temu nie zaprzecza.

— Ale co my z Ziemi mielibyśmy robić na Marsie?

— To samo w sobie jest sprzecznością — zaśmiał się Arkalion. — Jednak wkrótce się dowiemy, Temple.

Dotarli do początku kolejki i znaleźli się w ogromnym, wielopokładowym transportowcu odrzutowym. Znaleźli dwa miejsca obok siebie i postępowali zgodnie z instrukcjami wydrukowanymi na początku przejścia między fotelami, odnośnie zapięcia się pasami i niepalenia. Rozmowy wokół nich były przytłumione.

— Opór ustąpił miejsca strachowi — zauważył Arkalion. — Powinieneś był ich widzieć przez kilka ostatnich dni, jak czekali wokół centrum szkoleniowego, z podwójną belką na ramionach u każdego. Zaraz, a gdzie ty byłeś?

— Ja… co masz na myśli?

— Nie widziałem cię aż do zeszłego wieczoru. Nagle znalazłeś się tutaj.

— Czy ktoś jeszcze zauważył moją nieobecność?

— Ale pamiętam ciebie z pierwszego dnia.

— Czy ktoś jeszcze zauważył, że mnie nie ma? Któryś z urzędników?

— Nie. Nic o tym nie wiem.

— A więc, byłem tutaj — oznajmił Temple bardzo poważnym tonem.

Arkalion uśmiechnął się.

— Na George'a, oczywiście. A więc, byłeś tutaj. Temple, dobrze się dogadujemy.

Temple odparł, że to super.

— W każdym razie, to lepiej. Na zawsze, to bardzo długo.

Trzy minuty później odrzutowiec wystartował i wzleciał na swych skrzydłach, w stronę zachodzącego słońca.

— **L**udzie, ponieważ wyjeżdżamy za kilka godzin, nie ma jak wydostać się z obozowiska i nie ma dokąd pójść przez pustynię, nawet gdyby jej pokonanie było możliwe – głośnik w wielkiej, pustej sali huknął z całej siły, gdy wmaszerowały do niej dwie grupy ludzi, — nie ma nic złego w

powiadomieniu was, gdzie jesteście. Od tego momentu, w ograniczonym zakresie, będziecie na bieżąco informowani o postępach w waszej podróży.

— Jesteśmy w White Sands w Nowym Meksyku.

— W najwspanialszym ogrodzie wszechświata! — Ktoś krzyknął szyderczo, wspominając gorącą pustynię, ponure i postrzępione szczyty górskie, widoczne gdy schodzili do lądowania.

— White Sands — mruknął Arkalion. — Coraz bardziej wygląda to na podróż kosmiczną, nieprawda, Kit.

Temple wzruszył ramionami.

— Dlaczego?

— White Sands było centrum eksperymentalnym w zakresie rakiet, dziesiątki lat temu, kiedy ludzie ciągle jeszcze mówili o tego typu rzeczach. Potem przez długi czas nikt nie wspominał o White Sands. Budowano tu rakiety, Kit.

— Bez trudu jestem w stanie zrozumieć, dlaczego. Można by szukać przez całe życie, i nie znaleźć innych tak odludnych miejsc.

— Dokładnie. Ktoś kiedyś nazwał to miejsce – a może to było inne miejsce, podobne do tego? – ktoś kiedyś nazwał je dobrym miejscem do wyrzucania starych żyletek. Jeśli ludzie nadal będą używali żyletek.

Głośnik rozebrzmiał ponownie, gdy kolejnych kilkuset mężczyzn weszło do wielkiej sali i kotłowało się wśród ech. Temple mógłby sobie wyobrazić inne takie sale, inne odprawy.

— Ludzie, zawsze gdy otrzymacie instrukcje, tutaj lub gdzie indziej, wykonujcie je natychmiast. Nasza praca jest ogromna, skomplikowana i wymagająca. Dbałość o szczegóły zaoszczędzi nam kłopotów.

Ktoś skomentował to:

— Mój stary służył w armii w latach sześćdziesiątych. Zawsze to powtarzał, zwracać uwagę na szczegóły. Armia ma bzika na punkcie takich rzeczy. Jesteśmy w armii, czy coś podobnego?

— To nie jest wojsko, ale funkcja jest podobna — warknął głośnik. — Róbcie, co wam powiedziano, a dogadamy się.

Poruszenie w tłumie. Pomruki. Temple z otwartymi ustami. Głośnik, tak, ale także strategicznie rozmieszczone w całej sali odbiorniki, aby zbierać dźwięk. Może też odbiorniki Telio? To sprawiło, że poczuł się odrobinę, jak złota rybka.

Najwyraźniej komuś spodobał się pomysł dwukierunkowych głośników.

— Mam pytanie. Kiedy wrócimy?

Śmiechy. Pohukiwania. Gwizdy. Kocie pomiaukiwania.

Ryk głośnika.

— Panowie, działa system rotacji. Kiedy będzie to wykonalne, ludzie będą podlegać rotacji.

— Tak, przez trzydzieści lat nie było to – jak on to określił – możliwe!

— To niestety jest prawda. Kiedy sytuacja na to pozwoli, odwieziemy was do domu.

— Skąd? Gdzie lecimy?

— Przynajmniej to nam powiedzcie.

— Gdzie?

— I co wy na to?

Nastąpiła pauza, po czym głośnik wyszczekał:

— Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Nie uwierzycie mi, ale taka jest prawda. Nikt nie wie, dokąd lecicie. Nikt. Z wyjątkiem ludzi, którzy już tam są.

Kolejne gwizdy.

— To nie ma sensu — szepnął Arkalion. — Piloci by wiedzieli, jeśli to chodzi o podróże kosmiczne, prawda?

— Automatyczne? — zasugerował Temple.

— Wątpię. Podróże kosmiczne muszą być wciąż nową rzeczą, nawet jeśli mają już trzydzieści lat. Jeśli ten człowiek mówi prawdę – jeśli nikt nie wie… no to gdzie we wszechświecie… my lecimy?

Rozdział 3

— **H**ej, popatrz tylko na mnie. Ja lecę!

— Czy weźmiesz swoje wielkie, tłuste stopy z mojej twarzy?

— Jasne. Pokaż mi tylko, jak odpłynąć w powietrzu, to z przyjemnością to zrobię.

— Zostaw tę łyżkę!

— Nie mam twojej łyżki!

— Popatrz tylko na nią, jak odpływa. Hej, łyżeczko, hej!

— Uważaj, Charlie. To ci się spodoba. Naprawdę ci się spodoba.

— Co robisz?

— Spokojnie, kolego.

— Zostaw moją nogę. Pomocy! Jestem w powietrzu. Przestań.

— Powiedziałem, spokojnie. Ha-ha, patrzcie tylko, on kręci się jak wiatraczek. Trzeba nim tylko zakręcić, a potem obraca się jak wiatraczek z rękoma i nogami. Jesteś zwycięzcą poranka, Charlie. Ha-ha. Jak powiedziałem, wiatraczek...

— Niech ktoś mnie zatrzyma. Zaczyna mi się robić niedobrze.

Latali, wywijali koziołki, wirowali po głównej kabinie statku kosmicznego, z prostą, dziecinną wesołością. Baraszkowali w radosnej nieważkości.

— Teraz są szczęśliwi — zauważył Arkalion. — Nowe uczucie braku ciążenia, zerowej wagi, wydaje się im zabawne.

— Myślę, że zaczynam to łapać — stwierdził Temple. Niezgrabnie wykonał kilka niepewnych ruchów w powietrzu, jakby płynął, posuwając się o kilka jardów do przodu, zanim stracił równowagę i fiknął kozła, uderzając w ścianę.

Arkalion podleciał szybko do niego, łącząc pływanie w powietrzu i odpychanie się rękami i stopami od ścian. Wprawnie wyprostował go i ostrożnie przysiadł obok niego.

— Jeśli ograniczysz nagłe ruchy do minimum, dasz już sobie radę. Na tym polega cały sekret, bardziej niż na czymkolwiek innym.

Temple skinął głową.

— To trochę tak, jakby się po raz pierwszy jeździło na łyżwach. Powiedz, dlaczego jesteś w tym taki dobry?

— Lubiłem czytać stare książki, mówiące teoretycznie o podróżach kosmicznych. — Słowa popłynęły mu z ust bez wysiłku, sprawnie. — Po prostu stosuję teorie wysuwane jeszcze w latach pięćdziesiątych.

— O.

Dało to jednak Temple'owi trochę do myślenia. Alaric Arkalion i tak był dziwnym osobnikiem, a spośród wszystkich ludzi zebranych w kabinie statku kosmicznego tylko on niemal bez trudu opanował stan nieważkości.

— Weźmy twoje łyżwy — ciągnął Arkalion. — Niektórzy ludzie założą je i już za pierwszym razem potrafią ich używać, jak naturalnego przedłużenia nóg. Inni przewracają się jak dłudzy. Przypuszczam, że mam po prostu szczęście.

— Jasne — odparł Temple. Prawdę mówiąc, jedyną dziwną rzeczą w Arkalionie była jego staro-młoda twarz i – być może – jego umiejętność znajdowania właściwych odpowiedzi we właściwym czasie. Arkalion wydawał się być taki pewny siebie w sprawach podróży kosmicznych. Nawet nie mrugnął okiem, kiedy w White Sands weszli na długi, zwężający się ku górze statek, o kształcie pocisku, i z grzmotem wzbili się w niebo. Uznał za rzecz oczywistą przejście na ogromny, okrągły statek, na stacji kosmicznej w kształcie koła. W parę chwil po odlocie ze stacji kosmicznej – z minimalnym stresem i wysiłkiem, dzięki prawie zerowej grawitacji – to Arkalion jako pierwszy podpłynął w powietrzu do iluminatora i wskazał na ogromny półksiężyc Ziemi, zielono-szaro-brązowy, mieniący się plamami olśniewającego srebra i biali. „Zwróćcie uwagę, że to półksiężyc" — oznajmił Arkalion. — „Jest bliżej Słońca niż my i pod kątem w stosunku do nas. Tak jak podejrzewałem, naszym celem jest Mars".

Potem wszyscy żegnali się z Ziemią. Wyglądało to fantastycznie. Były łzy, był śmiech, przekleństwa, obietnice powrotu, niezręczne porównania z sierpem księżyca, śluby dochowania wierności kochankom i ukochanym. I był też Arkalion, z żarliwym wyrazem starych oczu, Arkalion z chłopięcą twarzą, nie żegnający się, a raczej witający się z czymś, czego Temple nie potrafił pojąć.

Teraz, gdy niezgrabnie walczył z brakiem ciężaru, Temple uznał to za swoją wyobraźnię. Jego myśli przesunęły się niezauważalnie, bez żadnych powodów, z lśniącego, błyszczącego wnętrza statku przesiąkniętego zapachem środków antyseptycznych i pełnego lśniącego metalu, do świeżego wiosennego powietrza na Ziemi, czystego błękitu nieba i jasnego słońca. Unikalne błękitne niebo Ziemi, o którym wiedział, że nie da się go skopiować gdzie indziej. Gdzie indziej – samo słowo graniczyło z bezsensem.

I Stephanie. Krótkotrwała, gorąca ekstaza nią – raz, na zawsze. Zastanawiał się z zaskakującym obiektywizmem, czy kiedy wszyscy wpatrywali się w półksiężyc Ziemi wiszący spokojnie w kosmosie, w stu innych umysłach nie pojawiło się sto innych imion, stu innych kobiet – a każde imię i każda kobieta była komuś równie droga jak Stephanie, poruszając krew tą samą kombinacją ognia i delikatnej kobiecości, ale budząc smutek w sercu. Czy Stephanie naprawdę o nim zapomni? Czy on tego chciał? Ta część jego ciała, trawiona przez jej ogień, powiedziała, że nie, nie, nie wolno jej o nim zapomnieć. Była jego, tylko jego, związana z nim i naznaczona, chociaż dzielił ich cały wszechświat. Ale gdzieś w jego sercu tkwiła myśl, zrozumienie, świadomość, że chociaż Stephanie może zachować dla niego małe miejsce skryte gdzieś głęboko w jej emocjach, musi jednak o nim zapomnieć. Odszedł na stałe. Dla Stephanie był

martwy. Było dokładnie tak, jak jej powiedział, tego ostatniego skradzionego dnia. Było... Stephanie, Stephanie, jak bardzo cię kocham...

Walcząc z nieważkością, wrócił do małego pomieszczenia, które dzielił z Arkalionem. Była to malutka kabina, ledwie wystarczało w niej miejsca na dwa łóżka, umywalkę i małą szafkę. Położył się i usnął, mamrocząc przez sen imię Stephanie.

Obudził się przy słabym pomruku pomp powietrza, wstał czując się wypoczęty, zapomniał o stanie nieważkości, i uniósł się pod sam sufit, gdzie tylko wyrzucona ręka zapobiegła paskudnemu uderzeniu w głowę. Użył uchwytów na ścianie, żeby się ściągnąć na dół. Umył się, świadom, że nie ma żadnego sposobu, aby zapobiec rozpryskiwaniu wody na twarzy, tworzeniu się drobnych kropelek, które rozpraszały się na całą kajutę. Kiedy wrócił w nogi łóżka aby wziąć ręcznik, wysunął jedną nogę zbyt szybko, stracił równowagę, na wpół się wyprostował, potknął się i upadł na drugie łóżko, które podobnie jak wszystkie pozostałe meble, było przymocowane do podłogi. Ale jego łokieć uderzył mocno śpiącego Arkaliona w szczękę; dostatecznie silnie, by naruszyć człowiekowi zęby.

— Przepraszam — powiedział Temple. — Naprawdę, to niechcący — przeprosił ponownie, czując się zażenowany.

Arkalion leżał bez ruchu.

— Powiedziałem, przepraszam.

Arkalion nadal spał. Wydawało się to niewyobrażalne, gdyż łokieć Temple'a bardzo go bolał. Pochylił się, przyjrzał się swojemu bezwładnemu towarzyszowi.

Arkalionowi nie drgnął nawet mięsień.

Lekko zaalarmowany Temple położył dłoń na piersi Arkaliona i nic nie poczuł. Przykucnął, położył głowę bokiem na sercu Arkaliona. Nasłuchiwał, ale nic nie usłyszał.

Co tu się działo?

— Hej, Arkalion!

Temple potrząsnął nim, najpierw delikatnie, potem z szaleńczą siłą. Nieważkie ciało Arkaliona uniosło się z łóżka, pociągając ze sobą kołdrę. Jego własne serce biło szaleńczo. Temple ściągnął go z powrotem na łóżko i nerwowo przełykając ślinę, dotknął palcami jego lewego nadgarstka.

Temple nigdy wcześniej nie widział martwego człowieka. Serce Arkaliona nie biło. Arkalion nie miał pulsu.

Arkalion nie żył.

Wrzeszcząc ochryple Temple stanął w drzwiach kajuty, odrywając się w pośpiechu z podłogi i uderzając głową w sufit tak mocno, że ujrzał wszystkie gwiazdy.

— Człowiek nie żyje! — krzyczał. — Arkalion nie żyje.

Mężczyźni zbiegli się w zejściówce. Ktoś wezwał jednego z uzbrojonych strażników, którzy stale patrolowali statek.

— Gdyby nawet ktoś umarł, to wrzeszczysz tak głośno, że poderwałby się z grobu. — Głos był cichy, rozbawiony.

Arkalion.

— Co? — wyrzucił z siebie Temple, obracając się i ponownie uderzając się w głowę. Nieco oszołomiony wszedł z powrotem do kajuty.

— A kto nie żyje, Kit? — zaczął się dopytywać Arkalion, siadając i przeciągając się wygodnie.

— Kto… nie żyje? Kto…? — Temple gapił się na niego z otwartymi ustami.

Strażnik, czując się swobodnie w nieważkości, energicznie wszedł do kabiny.

— Co się tu stało? Coś mówili o martwym człowieku.

— Martwy człowiek? — dopytywał się Arkalion. — W rzeczy samej.

— Martwy… — mruknął Temple kulawo i głupio. — Martwy…

Arkalion uśmiechnął się bagatelizująco.

— Mój przyjaciel musiał krzyczeć przez sen. Jedyną martwą rzeczą w tej kabinie jest mój apetyt. Nieważkość zabija w człowieku uczucie głodu.

— Przyzwyczaisz się do tego — obiecał strażnik. Z radością poklepał się po brzuchu. — Ja mam to już za sobą. No dobrze, nie podnoście alarmu, chyba że naprawdę będą jakieś kłopoty. Pamiętajcie o chłopcu, który ostrzegał przed wilkiem.

— Oczywiście — obiecał Temple. — Jasne. Przepraszam.

Patrzył, jak strażnik odchodzi.

— Zły sen? — chciał wiedzieć Arkalion.

— Zły sen, a niech cię licho. Przypadkowo cię uderzyłem. Na tyle mocno, żeby cię zranić. Nie poruszyłeś się nawet.

— Mam twardy sen.

— Sprawdzałem bicie twojego serca. Nie biło. Nie biło!

— Och, co ty nie powiesz, co ty nie powiesz.

— Twoje serce nie biło, tak jak powiedziałem.

— I pewnie byłem zimny jak bryła lodu?

— Hmm, nie. Nie pamiętam. Może byłeś. Ale nie miałeś też pulsu.

Arkalion roześmiał się serdecznie.

— I nadal nie żyję?

— No cóż…

— Najwyraźniej to przypadek zszarganych nerwów i mocno wyostrzonej wyobraźni. Potrzebujesz więcej snu.

— Nie jestem śpiący, dzięki.

— No dobrze, myślę, że wstanę i zejdę na śniadanie. — Arkalion ostrożnie podniósł się z łóżka, podszedł do zlewu i wkrótce zaczął przepłukiwać gardło butelką przygotowanego płynu do płukania ust, od czasu do czasu rozpylając na sufit kropelki nieważkiego różowego płynu.

Temple drżącymi dłońmi zapalił papierosa i skierował się do łóżka Arkaliona, podczas gdy mężczyzna nucił cicho przy zlewie. Temple opuścił ręce na prześcieradło. Nie było zimne, ale przyjemnie chłodne. Nie tak ciepłe, jak powinno być, gdyby spał na nim całą noc człowiek.

Czy ciągle miał przywidzenia?

— Cieszę się, że nie wezwałeś oddziału pogrzebowego i nie kazałeś mnie wyrzucić w kosmos, razem z wczorajszymi śmieciami — zawołał żwawo przez ramię Arkalion, wychodząc z kabiny na śniadanie.

Temple zaklął cicho i zapalił kolejnego papierosa, wrzucając pierwszego do zsypu w ścianie.

Od tej pory, co noc Temple starał się nie zasypiać zanim Arkalion w widoczny sposób nie zapadnie w sen. Ale jeśli oczekiwał powtórzenia się niedawnego szczególnego wydarzenia, spotkało go rozczarowanie. Arkalion nie tylko spał spokojnie i całą noc, ale chrapał. Głośno i wyraźnie, chrapał oraz świszczał.

Dziwne zachowanie Arkaliona – lub jego własna nadpobudliwa wyobraźnia, pomyślał cierpko Temple – było korzystne z jednego powodu: odciągnęło jego myśli od Stephanie. Dni upływały w niekończącej się, monotonnej rutynie. Wziął kilka książek z biblioteki statku i przejrzał je, nawet udało mu się znaleźć taką, która zajmowała się traumatyczną katalepsją; stwierdzała ona, że poważny szok emocjonalny może wprowadzić człowieka w tak głęboki trans, że laik omyłkowo uzna go za zmarłego. Ale jakie mogły być poważne zaburzenia emocjonalne w przypadku Arkaliona? Czy w taki sposób, w rzadkich wypadkach, mogą objawiać się skutki nieważkości? Temple naturalnie tego nie wiedział, ale postanowił sprawdzić tę możliwość, jeśli zdoła, po dotarciu do celu.

Pewnego dnia – było to trzy tygodnie po opuszczeniu stacji kosmicznej, jak zdał sobie sprawę Temple – wszyscy zostali wezwani na zebranie w dużej głównej kajucie statku. Gdy ludzie dryfowali do niej, Temple był zdumiony, widząc postępy jakie osiągnęli w poruszaniu się w stanie nieważkości. On sam także doszedł do swobodnej sprawności w ruchu, ale tym bardziej uderzyło go to, gdy zobaczył, że dwustu mężczyzn wprawnie pływa i unosi się w powietrzu, odpychając się za pomocą strategicznie umieszczonych wzdłuż ścian uchwytów.

Powitały ich wszechobecne głośniki.

— Dzień dobry, panowie.

— Dzień dobry, nieznajomy!

— Hej, czy to droga do Ebbetts' Field?

— No dalej z tym wszystkim!

— Brzmi tak samo jak ten człowiek, który mówił do nas w White Sands — zwrócił uwagę Temple Arkalionowi. — Na pewno gdzieś tu jest.

— Prawdopodobnie to nagranie. Posłuchaj.

— Naszym celem, tak jak zapewne czytaliście w gazetach i magazynach, jest planeta Mars.

Wśród zgromadzonych rozległy się pomruki, ale nie było widać specjalnego zdziwienia.

— Ich przypuszczenia, oparte zarówno na okresie siedmiuset osiemdziesięciu dni upływających między Podróżami Donikąd, jak i romantycznej pozycji, w jakiej zawsze znajdowała się planeta Mars, są słuszne. Lecimy na Marsa.

— Dla większości z was Mars pozostanie stałym domem na wiele lat…

— Większości z nas? — Temple głośno się zastanawiał.

Arkalion uniósł palec do ust, prosząc o ciszę.

— …do czasu kiedy nie zostaniecie odesłani, zgodnie z polityką rotacji ustanowioną przez rząd.

Temple przyzwyczaił się już do znanych pohukiwań i gwizdów. Niemalże miał ochotę przyłączyć się do nich.

— Ciekawe — zauważył Arkalion. — W White Sands twierdzili, że nie znają naszego miejsca docelowego. Znali je dobrze – w najdrobniejszych szczegółach. Planeta Mars. Ale teraz mówią, że nie wszyscy zostaniemy na Marsie. Nadzwyczaj interesujące.

— …kolejne informacje na temat naszej misji, otrzymacie wkrótce po przybyciu na Czerwoną Planetę. Lądowanie odbędzie się z nieco mniejszym przeciążeniem, niż przy początkowym starcie promu z Ziemi na Stację, ponieważ Mars posiada nieco mniejszą siłę przyciągania niż Ziemia. Z drugiej strony, przez trzy tygodnie znajdowaliście się w stanie nieważkości i ta zmiana może spowodować, że niektórzy z was będą źle się czuli. Przechodzi się przez to dosyć nieszkodliwie.

— Zdajemy sobie sprawę, że to trudne, gdy kogoś zabiera się z domu, nie wyjawiając mu natury jego pilnej misji. Wszystko co mogę wam w tej chwili powiedzieć… i, prawdę mówiąc, wszystko co wiem…

— Znowu się zaczyna — stwierdził Temple. — Kolejne zagadki.

— …to fakt, to co się dzieje jest sprawą najwyższej pilności. Stawką jest cały nasz sposób życia. Naszym zadaniem będzie jego obrona. W ciągu następnych miesięcy pewna niewielka część z was będzie miała bardzo dużą i znaczącą rolę do odegrania, ale wy wszyscy, pracując razem, zapewnicie nam siłę, której potrzebujemy. Kiedy *kadra* szkoleniowa...

— A więc nazywają swoich strażników nauczycielami — skomentował sucho Arkalion.

— …przejdzie po statku, ma zobaczyć, wszystkich ludzi odpowiednio przypiętych do swoich koi na czas deceleracji. Deceleracja zaczyna się za dwadzieścia siedem minut.

„Mars", pomyślał Temple z powrotem do pokoju z Arkalionem. „Mars". Nie myślał o Stephanie, chyba że tak jak człowiek, który wie, że będzie musiał spędzić resztę życia w więzieniu, mógłby myśleć o bujnym zielonym polu, o chłodnym szuraniu nart po świeżym sypkim śniegu, o odgłosie żagli małej łodzi regatowej skrzypiących na wietrze, albo o zapachu kiełbasek pieczonych na otwartym ogniu w rześkim jesiennym powietrzu owiewającym plecy, czy też woni dobrej francuskiej brandy lub kobiety.

Deceleracja rozpoczęła się szybko. Zanim jego twarz uległa odkształceniu, a oczy zamknęły się pod wpływem ciążenia czterech g, Temple zdążył dostrzec na twarzy Arkaliona wyraz całkowitej obojętności. Arkalion, prawdę mówiąc, spał.

Wydawał się być całkowicie odprężony, tak jak tego ranka gdy Temple myślał, że jego towarzysz podróży umarł.

Rozdział 4

— **P**ietrowicz Z. A.! — zawołał towarzysz stojący na wysokości początku szeregu, chudy, nerwowy człowiek, o pół głowy niższy od dziewczyny. Zofia Androwna Pietrowicz ruszyła naprzód i wzięła parę czystych białych szortów ze równego stosu po jego lewej stronie.

— Czy to wszystko? — powiedziała, spoglądając na niego.

— Tak, towarzyszu. Hmm, kobieta. No cóż.

Zofia bez zażenowania patrzyła na stojących przed nią w kolejce mężczyzn, rozbierających się i zakładających białe spodenki, układających swoje ubrania w rosnącym stosie na podłodze, zanim zniknęli w znajdującym się przed szeregiem przejściu. Ale teraz, po prawie dwóch godzinach oczekiwania, przyszła kolej na Zofię. Nie żeby było chłodno, ale...

— Czy to wszystko? — powtórzyła.

— Oczywiście. Rozbierzcie się i idźcie dalej, towarzyszko.

Pomyślała, że nerwowy człowieczek zmierzył ją lubieżnie wzrokiem.

— W takim razie muszę zatrzymać część własnego ubrania — powiedziała mu.

— Niemożliwe. Mam swoje rozkazy.

— Jestem kobietą.

— Jesteście ochotniczką na Stalintrek. Nie zabieracie ze sobą żadnych osobistych rzecz, żadnych ubrań. Proszę rozebrać się i iść naprzód.

Zofia zarumieniła się lekko, podczas gdy stojący za nią mężczyźni, zaczęli wołać i drwić.

— Podoba mi się taki Stalintrek.

— O, tak.

— Czekamy, towarzyszko.

Szybko i z obiektywnym dystansem, co ją zaskoczyło, Zofia rozpięła koszulę i zdjęła ją. Jedyne czego pragnęła – co bardzo dziwne, pomyślała uśmiechając się – to odrobina wosku do uszu. Odpięła trzy zatrzaski przy spódnicy i patrzyła, jak opada ona na podłogę. Stała przez chwilę, wysoka, szczupła dziewczyna o gibkich kończynach, po czym jednym szybkim ruchem zakryła nagość białymi spodenkami. Nadal miała na sobie szorstki biustonosz.

— Wszystkie rzeczy osobiste, towarzyszko — oznajmił zdenerwowany mały człowieczek.

— Nie — odparła Zofia.

— Ależ, tak. Zdecydowanie, tak. Trzymajcie się linii, a my musimy dotrzymać harmonogramu. Stalintrek żąda natychmiastowego i bezwzględnego posłuszeństwa.

— W takim razie dacie mi jedną dodatkową rzecz do ubrania.

Mężczyzna spojrzał na biustonosz Zofii, na interesujący sposób, w jaki go wypełniała. Wzruszył ramionami.

— Nie mamy — oznajmił, wyraźnie się bawiąc.

Zofia, zgłaszając się na ochotnika na Stalintrek, wtargnęła do domeny mężczyzn. Patrzyła nie z zażenowaniem, ale z pogardą, jak mężczyźni przed nią zdejmują ubrania. Najechała królestwo mężczyzn i kiedy ich obserwowała, tych niskich, zwiotczałych, tych kościstych z wystającymi żebrami i obojczykiem, tych o mlecznobiałej skórze i miękkich dłoniach, wiedziała, że większość z nich ugryzłaby dużo więcej niż potrafiliby przeżuć, gdyby kiedykolwiek spróbowali tego, co było dla mężczyzn najbardziej naturalną rzeczą, z samotną kobietą w odosobnieniu. Ale teraz była w męskim świecie i jeśli czegoś chcieli, nie mogła o nic prosić.

Sięgnęła do góry jedną ręką i szybko rozpięła biustonosz, chwytając go wolną ręką i przytrzymując przed piersiami, podczas gdy zdenerwowany mały człowieczek oblizywał usta i gapił się na nią. Zofia złapała kolejną parę białych szortów i szybko rozdarła je silnymi palcami, tworząc dla siebie prymitywne okrycie. Owinęła je wokół siebie, bezpiecznie zawiązując w supeł na plecach.

— Będziecie musieli mi to oddać — oświadczył zdenerwowany mały towarzysz.

— Założę się, że to zależy tylko od was — powiedziała cicho Zofia, więc tylko mężczyzna ją usłyszał.

Wyciągnął rękę, jakby chciał zerwać prymitywny biustonosz z jej ciała, ale Zofia pochwyciła ją w pół drogi swymi silnymi, smukłymi palcami, otaczając nimi jego biceps i ściskając. Twarz mężczyzny szybko zbladła, gdy bezskutecznie próbował uwolnić ramię.

— Proszę, to boli.

— Zachowam to, co mam na sobie.

Zacieśniła uścisk, ale spokojnie patrzyła w pustą przestrzeń, gdy mężczyzna stłumił jęk.

— No cóż… — wyszeptał niezdecydowanie mężczyzna, zaciskając zęby.

— Głupiec! — wycedziła Zofia. — Twoje ramię będzie przez tydzień czarno-niebieskie. Podczas gdy wy, mężczyźni, robicie się miękcy i leniwi, wiele kobiet poważnie traktuje gimnastykę, zwłaszcza jeśli chcą zachować figurę, przy pracy, jaką muszą wykonywać i pożywieniu, które muszą jeść. Jestem silniejsza od ciebie i zrobię ci krzywdę, chyba że… — i tak mocno ścisnęła dłoń na jego chudym ramieniu, że aż pobielały jej kostki.

— Noście sobie to, co wzięliście i idźcie już — poprosił mężczyzna i jęknął cicho, kiedy Zofia puściła jego odrętwiałe ramię, a następnie przeszła przez przejście, wciąż przyciągając gwizdy i spojrzenia innych mężczyzn, którzy całkowicie przegapili co się stało.

— **A** więc, jesteśmy na Marsie!

— Pomimo wszystko, jednak to nie Podróż Donikąd, tylko na Marsa.

— Poczekamy, zobaczymy, stary. Poczekamy, zobaczymy.

— Trochę zimno, co? Cóż, gdyby to była Wenus, to czekałoby na nas parę tych pięknych, jednorękich Pań…

— To tylko posąg, ty głupku.

— Popatrz na tych wszystkich ludzi, co?

— Myślisz, że to Marsjanie?

— Głupi! Nie nie jesteśmy pierwszymi, którzy wyruszyli w Podróż Donikąd.

— Na co czekamy? Z pewnością dobrze będzie rozprostować nogi.

— Chodźmy!

— Uważaj, Marsie, jestem!

Pasuje to w sam raz do jakiejś hollywoodzkiej epopei ekranowej, pomyślał Temple. We wszystkich kierunkach po sam horyzont rozciągała się rdzawo-ochrowa pustka, czasami sporadycznie poznaczona bladozieloną i mroźną bielą. Niebo było szare, z odcieniem błękitu. Odległe podmuchy marsjańskiego wiatru, wzbijały wirujące ochrowe obłoki, na pustyni. Statek kosmiczny stał na niezgrabnym spodzie, wielka srebrna kula do kręgli, z dyszami rakiet jako otworami na palce. I Marsjanie z Ziemi, którzy żyli tutaj, na tym obcym świecie, od siedmiuset osiemdziesięciu dni albo dwa razy siedmiuset osiemdziesięciu albo trzy razy, i którzy walczyli zawzięcie jak dzikusy, aby jako pierwsi dopchać się do opadającego trapu.

Chór ziemskich głosów:

— Hej, Marsjanie, czy któryś z was mówi po angielsku? Ha-ha, tak tylko powiedziałem, każdy z was chłopaki...

— Gdzie są te wszystkie kanały, o których tak dużo się słyszało?

— Myślicie, że może są niebezpieczni? (Śmiech)

— Żadnych pań. Hej, żadnych pań...

— A kogo spodziewałeś się Donny Daunley?

— Co to za miejsce ten Mars, bez kobiet?

— A co oni tutaj robią, tylko tak siedzą i czekają na następną rakietę?

— Jest mi zimno.

— Przyzwyczaisz się, bracie, przyzwyczaisz się do tego.

— Uważaj, Marsie, oto przybywam!

Chór marsjański:

— Kto wygrał ligę w zeszłym roku, Detroit?

— Hej, kolego, powiedz mi, czy dziewczyny, ciągle noszą te jednoczęściowe łaszki, we wszystkich kolorach, tak że widać ich nogi dotąd i piersi mniej więcej dotąd? (Sprośne gesty)

— Który z was może mi opowiedzieć, jak to jest się wykąpać? Chodzi mi o prawdziwą kąpiel w prawdziwej wannie.

— Hej, czy załatwiliśmy już Rosjan?

— Słyszeliśmy, że mają wysłać jakieś panie!

— Panie… ha-ha, łamiesz mi serce.

— Powiedz mi, jak smakuje stek. Taki gruby.

— Ja? Daj mi miskę gotowanych na parze ostryg. I panią.

Panie. Dziewczyny. Kobiety. Laski. Kociaki. Panie. Panie…

Wyglądało na to, że ci Marsjanie z Ziemi nie przejmują się zimnem. Temple przypuszczał, że nie spędzali zbyt wiele czasu na zewnątrz (na

powierzchni, jako że nie było widać żadnych budynków?) ponieważ wszyscy wydawali się biali i bladzi. Chociaż słońce świeciło słabo, taka również była ochrona oferowana przez rzadszą atmosferę. Ultrafioletowe promieniowanie słoneczne mogło opalać, podobnie jak niosący piasek wiatr. Jednak blada skóra nie mogła być wynikiem przebywania w zamkniętych pomieszczeniach, ponieważ Temple od razu zauważył brak budowli wykonanych ręką człowieka. Zatem pod ziemią. Ziemscy Marsjanie żyli w podziemnych budynkach. Robiąc, co? I z jakiego powodu? Jaki był ostateczny cel tego wszystkiego, jeśli w ogóle jakiś był? A dokąd udali się ci ludzie, którzy nie pozostali na Marsie? Głowa Temple'a wirowała od niezliczonych pytań i braku odpowiedzi.

Ramię w ramię z Arkalionem zszedł po trapie, podnosząc kołnierz kurtki w ochronie przed kąsającym wiatrem.

— Masz jakieś gazety, stary?

— Magazyny?

— Płyty z muzyką?

— Plotki?

— Filmy z wiadomościami?

— Kto jest mistrzem wagi ciężkiej?

— Dokopaliśmy już tym komuchom w Birmie?

— Cofnij się, Uważaj na tego człowieka. Może to twój zmiennik.

— Zmiennik. Ha-ha. To dobre.

Mężczyźni wszystkich typów. Z wszystkich grup wiekowych. Przeważnie w podartych, postrzępionych ubraniach. W szmatach. Nawet jeśli człowiek wydawał się być bardziej zadbany niż reszta, po dokładniejszym przyjrzeniu się Temple dostrzegł staranne szwy, łaty, plamy i zabrudzenia. Nikomu nie przeszkadzało.

— Hej, stary. Słyszałeś coś o rotacji? Uchwalili już jakieś prawa?

— Jestem tu od dziesięciu lat. Kiedy zostanę wymieniony?

— Czy w ogóle jest coś takiego? Tata Jenks przybył tutaj z pierwszym statkiem. Nie gadaj o rotacji. Zapytaj tatę.

— Lepiej nie wspominać o tym tacie Jenksowi. Krew go zaleje.

— Cała ta cholerna planeta jest jak zalana krwią.

— Potrzebujecie podróży z przewodnikiem po Donikąd? Podejdźcie.

Arkalion uśmiechnął się.

— Wyglądają na całkiem dobrze przystosowanych — stwierdził, po czym wzdrygnął się z zimna i ruszył za Templem, wraz z innymi, przez tłum.

Zostali zaszczepieni przeciwko jakimś bezimiennym chorobom. (Uważaj na igłę z haczykiem)

Ponownie powiedziano im, że przybyli na planetę Mars. (Bez żartów?)

Zaprowadzono ich do szarego podziemnego miasta, słabo oświetlonego, wilgotnego, hałaśliwego, pełnego mchu i pleśni. (Szybko, chlorofil)

Przydzielono prycze w sypialniach, po czterech ludzi w pokoju. (Zachowujcie się spokojnie – ba!)

Powiedziano im, że mają utrzymywać wszystko w czystości i przydzielono tymczasowo do grupy odbioru śmieci. (I dla czegoś takiego wyjechałem z Sheboygan?)

Odczytano fragment Deklaracji Niepodległości, Konstytucji i paragraf 1182 Ustawy Prawo Publiczne (nic z tego nie dotyczyło Podróży Donikąd, i nie powiedziało im niczego, czego by wcześniej nie wiedzieli).

Zaaplikowano im kompletny zestaw testów psychologicznych, emocjonalnych i fizycznych, o jakich istnieniu Temple w ogóle wiedział. (Do diabła, człowieku! Skąd, do cholery, mam wiedzieć, co to jest pierwiastek sześcienny z -5? Nigdy nie skończyłem nawet liceum!)

Poddano wyczerpującym, przesadnym i czasami bezsensownym wywiadom osobistym. (Nie doktorze, szczerze. Naprawdę nie wiedziałem, że mam… hmm… nerwicę lękową. Czy to jest niebezpieczne?)

— Jak się masz, Temple? Usiądź.

— Dziękuję.

— Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć, iż chociaż ogólny wynik testu nie jest może niesamowicie ogromny, to zdecydowanie jest wysoki.

— A więc?

— Więc nic - przynajmniej niekoniecznie. Poza tym, że masz bardzo zrównoważoną osobowość. Możemy cię wykorzystać, Temple.

— Dlatego tu jestem.

— Miałem na myśli – gdzieindziej. Mars jest tylko stacją przesiadkową, centrum szkoleniowym dla nielicznych wybranych. Utrzymanie tego miejsca wymaga ogromnej pracy administracyjnej, co uzasadnia zapotrzebowanie na cały personel stacji.

— Proszę posłuchać. W ciągu ostatnich kilku tygodni spadło na mnie to wszystko. Wszystko, od początku do końca. Mógłby pan odpowiedzieć mi na jedno pytanie?

— Wal śmiało.

— O co w tym wszystkim chodzi?

— Temple, ja nie wiem!

— Pan, nie wie?

— Zdaję sobie sprawę, że trudno ci w to uwierzyć, ale nie wiem. Nie ma też na Marsie ani jednego człowieka, który znałby całą sprawę – a już na pewno, nie ma na Ziemi. Wiemy na tyle dużo, aby to wszystko funkcjonowało. Wiemy też, że to jest ważne, wszystko, wszystko co robimy.

— Wspomniał pan, że potrzebujecie jakichś ludzi gdzieindziej. Gdzie?

Psychiatra wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Gdzieś. Gdziekolwiek. — Elokwentnie rozłożył ręce. — Tam, gdzie prowadzi Podróż Donikąd.

— Z pewnością może pan powiedzieć mi coś więcej niż…

— Absolutnie nie. Nie chodzi o to, że nie chcę. Nie mogę. Po prostu, nie wiem.

— No cóż, jeszcze jedno pytanie, na które chciałbym, żeby mi pan odpowiedział.

Psychiatra zapalił papierosa i uśmiechnął się.

— Powiedz, kto tu z kim przeprowadza wywiad?

— Myślę, że da pan sobie z tym radę. Mam brata, Jasona Temple. Wyruszył w Podróż Donikąd pięć lat temu. Zastanawiam się…

— A więc to jest ten jedyny czynnik, którego nie mogliśmy zrozumieć w twoim psychografie – niepokój o brata.

— Wątpię — wzruszył ramionami Temple. — Bardziej prawdopodobne, że o moją narzeczoną.

— Umm, dość powszechne. Miałeś się ożenić?

— Tak. „Stephanie, co teraz robisz? W tej chwili?”

— To najbardziej boli… Cóż, tak, mogę dowiedzieć się czegoś o twoim bracie. — Psychiatra wcisnął przełącznik na biurku. — Jamison, znajdź wszystko co możesz o Jasonie Temple, rok…

— 1987 — podrzucił Temple.

— 1987. Poczekamy.

Po chwili lub dwu, usłyszeli lekko metaliczny głos:

— Temple, Jason. Przylot: 1987. Psychograf, 115-bl2. Psychologiczny zagregowany: 98. Fizkom: dobry do doskonałego. Szkolenie: dwa lata, koncentracja na postrzeganiu przestrzeni, inne. Wysłany: 1989.

Jase wyruszył Donikąd.

— Któregoś dnia pójdziesz w ślady swojego brata, Temple. A teraz, ja mam kilkaset pytań, na które chciałbym żebyś odpowiedział.

Psychiatra nie przesadził. Nastąpiło kilka godzin przesłuchań. Kiedy już mu o niej przypomniano, Temple stwierdził, że trudno mu było utrzymać myśli z dala od Stephanie.

Wyszedł z gabinetu psychiatry bardziej zdezorientowany niż kiedykolwiek.

— **D**zień dobry, dziecko. Czy pani Stephanie Andrews?

Stephanie nie czuła się na siłach, aby pracować, tego pierwszego ranka po ostatnim pożegnaniu z Kitem. Otworzyła drzwi w szlafroku i zobaczyła drobną kobietę w średnim wieku o siwiejących włosach i miłej twarzy.

— Zgadza się. Nie wejdzie pani?

— Dziękuję. Reprezentuję Ligę Pełnej Emancypacji, panno Andrews.

— Liga Pełnej Emancypacji? Och, to coś związanego z polityką. Naprawdę, nie jestem zbytnio zainteresowana…

— Na tym polega problem — oświadczyła starsza kobieta. — Zbyt wiele z nas nie interesuje się polityką. Chciałabym z panią porozmawiać o LPE, moja droga, jeśli zniesie mnie pani przez parę minut.

— W porządku — odparła Stephanie. — Czy ma pani ochotę na kieliszeczek sherry?

— Tak od rana? — starsza kobieta uśmiechnęła się.

— Przepraszam. Proszę się mną nie przejmować. Mój narzeczony wczoraj wyjechał, pożegnał się ze mną ostatni raz. On… on wyruszył w Podróż Donikąd.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Właśnie dlatego tu jestem. Moja droga, LPE nie chce walczyć z rządem. Jeśli rząd zdecydował, że Podróż Donikąd jest niezbędna dla dobra kraju – nawet jeśli rząd nie chce lub nie potrafi

wyjaśnić, czym jest ta podróż – to dla nas jest to w porządku. Lecz jeśli rząd twierdzi, że istnieje system rotacji, ale absolutnie nic w tej sprawie nie robi, to jesteśmy tym zainteresowani.

— Tak! — zawołała Stephanie. — Och, tak. Proszę mówić dalej.

— LPE ma sześćdziesiąt osiem miejsc w Kongresie, na obecną kadencję. Mamy nadzieję, że w następnych wyborach podniesiemy tę liczbę do siedemdziesięciu pięciu. To długa walka, wyboista droga pod górę, i szczerze mówiąc, moja droga, potrzebujemy wszelkiej pomocy jaką możemy otrzymać. Młode kobiety, takie jak pani, moja droga, są zbyt mało aktywne, jeśli pani mi wybaczy.

— To pani powinna wybaczyć mi — powiedziała Stephanie, — jeśli pani zechce. Wie pani, to zabawne. Miałam tylko mgliste pomysły odnośnie pomocy Kitowi, znalezienia sposobu aby go odzyskać. Mam dopiero dwadzieścia jeden lat, jestem tylko dziewczyną i nie znam nikogo ważnego. Nikt jeszcze stamtąd nie wrócił, jak się słyszy. Ale jest system rotacji, jak się również słyszy. Jeśli mogłabym być w jakikolwiek sposób pomocna…

— Z pewnością pani mogłaby pani, moja droga. Bylibyśmy zachwyceni, gdybyśmy panią mieli.

— W końcu, może, tylko może, zaczniemy ich sprowadzać do domu?

— Nie możemy niczego obiecać. Możemy tylko spróbować. I nigdy nie mówiłam, że spróbujemy wymienić chłopców, moja droga. Istnieje prawny zapis o systemie rotacji, w paragrafie 1182 ustawy Prawo Publiczne. Ale jeśli żaden z mężczyzn nie został nigdy wymieniony, musi być jakiś powód ku temu.

— Tak, ale…

— Ale, zobaczymy. Jeśli z jakiegoś powodu rotacja tak po prostu nie jest możliwa, znajdziemy inny sposób. Dlatego nazywamy się LPE – Liga Pełnej Emancypacji – kobiet. Jeśli mężczyźni muszą ruszać w Podróż Donikąd, to przynajmniej można pozwolić ich kobietom lecieć z nimi na ochotnika, jeśli zechcą – ponieważ to może być na zawsze. Niech tylko gromada kobiet dotrze do tego „Donikąd”, a nie wiadomo co się może wydarzyć, to właśnie mówię.

Coś w tej siwowłosej kobiecie, o nieziemskiej pewności siebie, przepoiło Stephanie optymizmem, jakiego nigdy by się nie spodziewała.

— Cóż — stwierdziła z uśmiechem, — jeśli nie można przyjść do Mahometa… Nie, to jakoś inaczej… do góry…?

— Tak, jest takie stare powiedzenie. Ale to nie jest w tej chwili ważne. Wie pani, o co chodzi. Moja droga, jak bardzo by pani chciała polecieć Donikąd?

— Ja… do Kita, dokądkolwiek, dokądkolwiek! — „Nigdy nie zapomnę wczorajszego dnia, Kit, kochanie. Nigdy!”

— Niczego nie obiecuję, Stephanie, ale może to nastąpić wcześniej, niż pani myśli. Rano nie rano, ale może mimo wszystko napiję się trochę sherry. Hmm, a może jakimś przypadkiem nie miałaby pani zamiast sherry odrobinę kanadyjskiej?

Nucąc pod nosem, Stephanie rzuciła się do kuchni po szklaneczki.

Były chwile, kiedy prawdziwy Alaric Arkalion III żałował, że jego ojciec nie pilnuje swoich własnych spraw. Jak na przykład, ta sprawa z Podróżą Donikąd. Może Alaric Senior nie zdawał sobie sprawy z tego, że rola zepsutego synka miliardera wcale nie była zabawna. „Jestem dyletantem” — powtarzał sobie często Alaric, patrząc w lustro, — „znudzonym dyletantem, w wieku dwudziestu jeden lat”.

Co samo w sobie, jak musiał przyznać, nie było wcale takie złe. Ale rezygnacja z Podróży Donikąd na rzecz nieznajomego, dwa razy starszego od niego człowieka, który teraz nosił twarz Alarica, wywołała pewne irytujące komplikacje.

— Alaricu, będziesz musiał ukryć się lub zmienić swój wygląd i tożsamość.

— Ukryć się? Na jak długo, ojcze?

— Nie jestem pewien. Prawdopodobnie na lata.

— To szaleństwo. Nie będę się kryć przez wiele lat.

— Więc zmień swój wygląd. Styl życia. Zawód.

— Nie mam żadnego zawodu.

— To zdobądź. Zmień też swoją twarz. Odciski palców. To się da zrobić. Zostań nowym człowiekiem, żyj w nowy sposób.

Ukrywanie się, oznaczało nudę, niemożliwą do wytrzymania nudę. Z drugiej strony była to przygoda, intryga – ale także niepewność. Jedna część młodego Alarica pragnęła tej niepewności, reszta ją odrzucała. W pewnym sensie, było to jak Podróż Donikąd, rozpoczęcie wszystkiego od nowa.

— Może Donikąd nie byłoby takie złe — powiedział Alaric do swojego ojca, stawiając to jako tymczasową alternatywę i sposób ucieczki, który jak wiedział, nie mógł się wydarzyć.

Naprawdę nie mógł?

— Jeśli przyjmę inną tożsamość, znowu będę się kwalifikował do Podróży Donikąd.

— Na George'a, tego nie wziąłem pod uwagę. Nie, czekaj. Możesz mieć więcej niż dwadzieścia sześć lat.

— Podoba mi się tak jak jest teraz — oznajmił Alaric, dąsając się.

— W takim razie będziesz musiał się ukrywać. Wydałem dziesięć milionów dolarów, żeby zabezpieczyć twoją przyszłość, Alaricu. Nie chcę, żebyś to zmarnował.

Alaric jeszcze się nadymał.

— Pozwól, że jeszcze to przemyślę.

— W porządku, ale jutro będę chciał od ciebie odpowiedzi. Tymczasem nie wolno ci wychodzić z domu.

Alaric zgodził się w słowach, ale skorzystał z pierwszej nadarzającej się okazji – tej samej nocy – by wymknąć się przez drzwi dla służby, udać się do centrum miasta i urżnąć się jak świnia.

O drugiej w nocy został zabrany przez policję za niewłaściwe zachowanie (zdarzało się to już wcześniej) po przegranej walce na pięści z dużo biedniejszym, czyli znacznie mniej pijanym, człowiekiem, w barze w

centrum miasta. Alarica przesłuchano na komisariacie, zbadano jego rzeczy, przejrzano jego portfel, powiadomiono jego dom.

Wściekły Alaric Senior pomknął na posterunek policji, aby odebrać syna. Przyjął go siedzący za biurkiem sierżant, gruby, łysiejący człowiek, noszący mundur w niechlujny sposób.

— Pan Arkalion? — spytał sierżant, dłubiąc w zębach wykałaczką.

— Tak. Przyszedłem po Alarica, mojego syna.

— Jasne. Jasne. Ale pański syn ma kłopoty, panie Arkalion. Poważne kłopoty.

— O czym pan mówi? Jeśli są jakieś szkody, zapłacę. Nikomu nie zrobił krzywdy, prawda?

Sierżant złamał wykałaczkę między zębami i zaśmiał się.

— On? Nie. Dostał cholerny łomot od pijaczka o połowę mniejszego od siebie. To nie jest taki problem, panie Arkalion. Wie pan, co to jest karta 1182?

Twarz Arkaliona zbladła.

— Dlaczego… Tak.

— Alaric ma taką.

— Naturalnie.

— Zgodnie z kartą, powinien był wyruszyć w Podróż Donikąd, szanowny panie. Nie zrobił tego. Ma poważne kłopoty.

— Porozmawiam z prokuratorem okręgowym.

— Bardziej prawdopodobne, że będzie pan musiał porozmawiać z prokuratorem generalnym. Poważne kłopoty.

Rozdział 5

Kłopot ze Stalintrekiem, pomyślała sobie Zofia, polegał na tym, że potrzeba było wielu miesięcy, aby dotrzeć do absolutnego Donikąd. Po drodze było bolesne przeciążenie, utrata przytomności, uwięzienie w ciasnym, małym światku sypialni i błyszczących metalowych ścian, niesamowite uczucie braku ciężaru, umiejętność – nudna po chwili, ale z początku interesująca – unoszenia się w powietrzu niemalże zgodnie z własną wolą.

Zatem, ile było tych bliźniaczo podobnych miesięcy? Zofia straciła poczucie czasu na skutek nudy. Ale przez pierwszy krótki okres przystosowania się jej towarzyszy do faktu, że chociaż była kobietą i dzieliła z nimi męskie życie, wciąż nie wolno było jej tknąć, codzienny bieg spraw wcale nie był ekscytujący. Okres adaptacji miał swoje przygody, niepewności, wyzwania, i dla Zofii był stymulujący. Zastanawiała się, dlaczego tak się dzieje, że mężczyźni, którzy obnosili się ze swoją płcią z siłą i godnością, solidnie umięśnieni mężczyźni, którzy mogliby dostać od niej wszystko gdyby użyli siły, należeli do tych, którzy nie naruszali jej prywatności, podczas gdy słabeusze, miękcy, drobniejsi mężczyźni czy nawet przeciętni mężczyźni, których Zofia uważała za równych sobie pod względem fizycznym, sprawiali jej kłopoty?

Zawsze przyjmowała z obiektywną obojętnością swoją urodę, pewną ewidentną atrakcyjność, jaką widzieli w niej mężczyźni. Była obdarzona seksapilem; w jej życiu nie było jednak zbyt wiele miejsca by z tego korzystać, nawet gdyby chciała. Teraz, kiedy chciała wszystkiego tylko nie tego, sprawiało jej to kłopoty.

Swój pokój z konieczności dzieliła z trzema mężczyznami. Wysoki, tykowaty Borys nie sprawiał jej kłopotu, odwracał się plecami, kiedy rozbierała się na noc, mimo że uważała, aby najpierw wsunąć się pod kołdrę. Iwan, drugi z mężczyzn, był niski, chudy, zgarbiony. Często przyłapywała go, jak patrzy na nią, z czymś więcej niż zdrowym zainteresowaniem, ale poza tym zachowywał spokój. Poza tym Iwan spędził dwa lata w liceum (podobnie jak Zofia) i lubiła z nim rozmawiać.

Źródłem kłopotów był trzeci z mężczyzn, Georgij. Georgij był jednym z tych pulchnych młodych mężczyzn o czerwonych policzkach, dużych, niecierpliwych oczach i nieco zbyt wysokim głosie. Był zapalonym gadułą, chwalipiętą i nudziarzem. Od początku zwrócił uwagę na Zofię. Nalegał, żeby wieczorem wyciągać jej umywalkę, codziennie rano odprowadzał ją na śniadanie, w zaufaniu opowiadał jej o swych podbojach, których dokonywał na pięknych kobietach (ale nie tak pięknych jak ty, Zofio). Wkrótce zaczął nabierać swobody. Z początku siadał nieśmiało – ale z coraz większą śmiałością – w rogu jej łóżka, rozmawiając z nią w nocy,

kiedy pozostali zapadli w sen, Iwan ze swoim chrapaniem, Borys z silnym, głębokim oddechem. Noc w noc, pulchny Georgij nabierał coraz większej śmiałości.

Wyciągał rękę i dotykał Zofii, nalegał, żeby ją przytulać w nocy (pozwól mi być swoim starszym bratem), budził ją rano, kładąc ciężką rękę na jej ramieniu. Wreszcie pewnego dnia wieczorem, przed snem, usłyszała jak rozmawia szeptem z Iwanem i Borysem. Nie słyszała słów, ale Borys popatrzył na nią z czymś, co uznała za zdziwienie, Iwan skinął głową ze zrozumieniem i po chwili obaj wyszli z kabiny.

Zofia zmarszczyła brwi.

— Co im powiedziałeś, Georgij?

— Oczywiście, że na jeden wieczór chcielibyśmy zostać sami.

— Nigdy nie dawałam ci żadnych zachęt…

— Widziałem to w twoich oczach, w sposobie, w jaki na mnie patrzyłaś.

— No cóż, lepiej zawołaj ich z powrotem do środka, i idź do łóżka.

Georgij pokręcił głową i podszedł do niej.

— Georgij! Zawołaj ich ty, albo ja ich zawołam.

— Nie, nie zawołasz. — Georgij szedł za nią, gdy wycofywała się w róg kabiny. Kiedy dotarła do ściany i nie mogła się już dalej cofnąć, położył grubą dłoń na jej ramieniu i powoli przyciągnął ją do siebie. — Nikogo nie zawołasz — wychrypiał.

Uchyliła się pod jego ramieniem, wymknęła się mu i już miała pobiec do drzwi, szeroko je otworzyć i krzyczeć, kiedy się zastanowiła. Gdyby to zrobiła, prosiłaby o litość, zyskując chwilowy oddech, ale prosząc się o tego samego rodzaju rzeczy w przyszłości.

Podeszła do łóżka i usiadła.

— Chodź tutaj, Georgij.

— Ach. — Podszedł do niej.

Obserwowała go uważnie, miękkiego, pulchnego mężczyznę, nie tak wysokiego jak ona, który mimo to ważył trzydzieści lub czterdzieści funtów więcej od niej. W swoim zapale szedł zbyt szybko, stracił równowagę i delikatnie uniósł się do sufitu. Uśmiechając się tak skromnie, jak tylko potrafiła, Zofia wyciągnęła dłoń i objęła jego kostkę.

— Nigdy chyba nie przyzwyczaję się do tej nieważkości — przyznał Georgij. — Bądź taka miła i ściągnij mnie na dół.

— Będę bardzo miła. I dam ci lekcję.

Ważył dokładnie tyle co nic. To było tak proste, jak gimnastyka. Zofia tylko szarpnęła ręką do góry i głowa Georgija łupnęła w sufit z głośnym hukiem. Georgij jęknął. Zofia powtórzyła całą procedurę, opuszczając swoją rękę i stopę Georgija, a następnie unosząc ją i obijając jego głową sufit.

— Nie rozumiem — wyjęczał Georgij, próbując się uwolnić, ale był w stanie tylko idiotycznie wymachiwać w powietrzu pulchnymi ramionami.

— Nie opanowałeś nieważkości — Zofia uśmiechnęła się do niego. — Ja tak. I powiedziałam, że dam ci lekcję. Jeśli chcesz się bawić w męską grę, najpierw upewnij się, że masz siły mężczyzny.

Wciąż się uśmiechając, Zofia zaczęła kręcić ręką, która trzymała kostkę Georgija. Ramiona i wolna noga bezradnie młóciły powietrze. Georgij zaczął się obracać.

— Ściągnij mnie na dół! — jęknął teraz chłopiec, nawet nie udający mężczyzny.

Kiedy Zofia delikatnie odepchnęła go i puściła jego kostkę, wykonał w powietrzu niezłe salto i zawisł do góry nogami, ze stopami w pobliżu sufitu, zaś głową na poziomie ramion Zofii. Krzyczał.

Uderzała go w obróconą do góry nogami twarz, uważnie i bez podniecenia, zaczerwieniając mu policzki.

— Ja… tylko żartowałem — wyszlochał. — Zawołam naszych przyjaciół.

Zofia znalazła jedną z twardych, hermetycznych metalowych butelek, których używali do picia w stanie nieważkości. Jedną ręką otworzyła korek, drugą złapała Georgija za rękę i zakręciła nim w powietrzu. Pryskała mu wodą w twarz, a ponieważ wisiał do góry nogami i krzyczał, krztusił się i kaszlał. Kiedy pojemnik był już pusty, delikatnie ściągnęła Georgija na podłogę.

Kilka minut później otworzyła drzwi, wezwała Borysa i Iwana, którzy weszli do pomieszczenia skrywając swe uczucia. W środku znaleźli solidnie pobitego Georgija, szlochającego na podłodze. Po tym wydarzeniu Zofia nie miała już żadnych problemów. Następowały po sobie tydzień po tygodniu pełne nudy i prawie żałowała, że Georgij lub ktoś inny nie szukał kłopotów... nawet gdyby było to coś, z czym nie dałaby sobie rady, bo chociaż była silniejsza i piękniejsza niż przeciętnie, to nadal była przede wszystkim kobietą, i wiedziała, że jeśli właściwy mężczyzna...

— **C**zy wiesz, że między Ziemią i Marsem utrzymywana jest komunikacja radiowa? — Alaric Arkalion na Marsie spytał Temple'a.

— Czemu nie. Nigdy o tym nie myślałem.

— Jest, a ja mam pewne kłopoty.

— O co chodzi? — Temple polubił Arkaliona, pomimo całej jego osobliwości. Zaniechał już prób rozgryzienia go, czując że jedynym sposobem, aby na tym polu coś osiągnąć, jest współpraca samego Arkaliona.

— To długa historia i obawiam się, że nie w pełni byś ją zrozumiał. Władze na Ziemi uważają, że nie powinienem znaleźć się w Podróży Donikąd.

— Czy to prawda? Błąd, co? Ja z pewnością cieszę się, że tutaj jesteś, Alaricu.

— Nie na tym polega problem. Wygląda na to, że chodzi o podszywanie się pod inne osoby, naruszenie niektórych klauzul prawa publicznego nr 1182. Byłeś dla mnie uprzejmy. Prawdopodobnie pójdę do więzienia.

— Jeśli to takie poważne, dlaczego ci o tym powiedzieli?

— Nie powiedzieli. Ale udało mi się jakoś dowiedzieć. Kit, nie będę wchodził w szczegóły, ale oczywiście jeśli udało mi się wyruszyć Donikąd, chociaż nie musiałem tego robić, to na pewno chciałem lecieć. Zgadza się?

— Hmm… chyba tak. Ale dlaczego…?

— Nie o to chodzi. Ciągle chcę tam dotrzeć. Nie na Marsa, ale Donikąd. Pomimo tego co się stało, nadal mogę to zrobić, ale potrzebuję pomocy.

Temple oznajmił:

— Wszystko, co da się zrobić, zrobię z przyjemnością — i powiedział to poważnie. Po pierwsze, lubił Arkaliona. Po drugie, Arkalion zdawał się wiedzieć więcej, znacznie więcej, niż to co kiedykolwiek by mu powiedział – chyba że Temple zdobędzie jego zaufanie. Po trzecie, Temple miał już dosyć Marsa z jego szarobrązową monotonią (kiedy już ktoś wydostał się na powierzchnię, co zdarzało się dosyć rzadko), z zapleśniałym podziemnym miastem, z bezsensowną dbałością o jakieś bezsensowne szczegóły. Tak czy inaczej, doszedł do wniosku, że nie ma już powrotu na Ziemię. Gdyby Donikąd oznaczało przygodę, jak podejrzewał, wybrałby to bez namysłu. W każdym razie Mars równie dobrze mógł być drugim końcem Galaktyki pomimo swej bliskości Ziemi.

— Jest bardzo wiele rzeczy, które możesz zrobić. Ale będziesz musiał udać się ze mną.

— Dokąd? — dopytywał się Temple.

— Tam, gdzie i tak w końcu dotrzesz. Donikąd.

— W porządku. — Temple uśmiechnął się. — Czemu teraz, a nie później?

— Będę z tobą szczery. Jeśli udasz się tam teraz, będziesz nieprzeszkolony. Możesz potrzebować tego szkolenia. Nawet niewątpliwie będziesz.

— Wiesz o wiele więcej, niż chcesz powiedzieć, prawda?

— Prawdę mówiąc, tak… przepraszam, Kit.

— W porządku. Masz swoje powody. Myślę, że jeśli wyruszę z tobą to i tak dosyć szybko dowiem się wszystkiego.

Arkalion uśmiechnął się.

— I dobrze myślisz. Wynoszę się Donikąd, zanim zawrócą mnie na Ziemię aby oskarżyć mnie na mocy prawa publicznego nr 1182. Nie mogę wyruszyć sam, bo trzeba co najmniej dwóch ludzi do obsługi... cóż, sam zobaczysz.

— Wchodzę w to — powiedział Temple.

— Pamiętaj, pewnego dnia możesz żałować, że nie zostałeś na Marsie na czas treningu.

— Zaryzykuję. Mars doprowadza mnie do szału. Jedyne, co tutaj robię, to myślę o Ziemi i Stephanie.

— A więc, dalej.

— Dokąd wyruszamy?

— Bardzo, bardzo daleko. Nie do pomyślenia daleko, do miejsca zwanego Donikąd.

Temple nagle poczuł się jak dzieciak urywający się na wagary ze szkoły.

— Prowadź — powiedział niemal żartobliwie. Wiedział, że wyrusza stąd, a Stephanie pozostawała coraz dalej za nim, ale gdyby nawet siedział w więzieniu na sąsiedniej ulicy tuż koło niej, równie dobrze mógłby być w odległości wielu milionów mil.

A jeśli chodzi o Arkaliona – ta myśl nagle uderzyła Temple'a – Arkalion niekoniecznie musiał pozostawiać swój świat coraz dalej za sobą. Może Arkalion wracał do domu...

Stephanie ochoczo podniosła słuchawkę. W ciągu tygodni jakie minęły od jej pierwszego spotkania z panią Draper z LPE, starsza kobieta była dla niej źródłem informacji i nadziei. Stephanie ze swej strony przejęła pracę pani Draper, w swojej własnej części Center City; zajęta była kontaktowaniem się z dwustu matkami i pięćdziesięcioma narzeczonymi chłopców z Podróży Donikąd, która odebrała jej Kita. A teraz pani Draper zadzwoniła z informacjami.

— Udanie połączyliśmy siły z pewnymi mniej wojowniczymi elementami w obu Izbach Kongresu — powiedziała jej przez telefon pani Draper. — Czy zdaje pani sobie sprawę, moja droga, że po raz pierwszy, LPE zdołała przeprowadzić przez Kongres coś konstruktywnego? Do tej pory zadowalałyśmy się jedynie blokowaniem przepisów, takich jak zwiększenie kontyngentu Donikąd...

— Tak, pani Draper. Wiem o tym. Ale co z tymi konstruktywnymi rzeczami, które udało się zrobić.

— Cóż, moja droga, nie dzielmy skóry na niedźwiedziu. Ale uchwaliliśmy ustawę i spodziewamy się, że prezydent jej nie zawetuje. Widzi pani, prezydent ma dwóch siostrzeńców, którzy…

— Wiem. Wiem. Jaką ustawę udało się pani przepchnąć?

— Niestety, to jest trochę mgliste. Ostatecznie decyzję musi podjąć Komisja Donikąd, ale to utoruje drogę.

— Do czego, pani Draper?

— Niech się pani czegoś przytrzyma, moja droga. Ustawa upoważnia Komisję Donikąd do zbadania warunków panujących tam, dokądkolwiek wysyłani są nasi chłopcy.

— O. — Stephanie była rozczarowana. — To nie sprawi, że do nas wrócą.

— Nie. Ma pani rację, to nam ich nie zwróci. W ogóle nie o to chodzi, moja droga. Jest więcej niż jeden sposób na rozbicie jajka. Komisja Donikąd będzie badać warunki …

— A w jaki sposób? Myślałem, że wszystko jest takie tajne, że nawet Kongres nic o tym nie wie.

— To była pierwsza duża przeszkoda, którą najwyraźniej przezwyciężyłyśmy. W każdym razie mają zbadać warunki w celu ustalenia, czy jedna dziewczyna – tylko jedna – nie mogłaby wyruszyć w Podróż Donikąd, w pilotażowym projekcie, i...

— Ale myślałam, że tę podróż można odbyć tylko raz na siedemset osiemdziesiąt dni.

— Jeśli poruszy się Kongres, można przenosić góry. Zdaje się, że koszty związane z tą podróżą w każdym innym okresie są generalnie dosyć wygórowane, ale kiedy pojawia się coś wyjątkowego…

— Można to zrobić! Pani Draper, jak ja uwielbiam z panią rozmawiać!

— Widzi pani? I o tym mówiłam, moja droga, z tym dzieleniem skóry na niedźwiedziu. Jeśli badanie wykaże, że może ona tego dokonać, zostanie wysłana jedna dziewczyna. Jedna dziewczyna, Stephanie, i tylko po udanym badaniu. I jedynie w ramach pilotażu. Ale potem… Och… Może któregoś dnia, już wkrótce, wykwalifikowane kobiety będą mogły dołączyć do swoich mężczyzn w Donikąd.

— Pani Draper, kocham panią.

— Oczywiście powie pani to wszystko przyszłym członkiniom LPE. Teraz mamy coś konkretnego do zrobienia.

— Wiem. I powiem, i powiem, pani Draper. A tak przy okazji, jak zamierzają wybrać tę dziewczynę, tę jedyną?

— Niech pani nie dzieli skóry na niedźwiedziu, na litość boską! Nawet jeszcze nie zbadali sytuacji. Cóż, zadzwonię do pani, moja droga.

Stephanie odłożyła słuchawkę, ubrała się, zajęła się swoją pracą. Przez cały tydzień myślała o radosnych sprawach.

— **Ć**śśś! Cicho — ostrzegł Arkalion, prowadząc w dół po schodach, wykonanych z wytrzymałego plastiku.

— Skąd tak dobrze znasz drogę tutaj?

— Powiedziałem, cicho.

Temple zdawał sobie sprawę, że Arkalionowi tak naprawdę wcale nie chodziło o narobienie hałasu. Raczej nie chciał odpowiadać na pytania.

Temple uśmiechnął się w półmroku, słysząc stałe pukanie kapiącej wody, gdzieś po lewej stronie. Całe eony przed przybyciem człowieka do tego punktu przystankowego w drodze Donikąd, wody Marsa wycofywały się ze starożytnej powierzchni planety i wsiąkały pod ziemię, by powoli, kropla po kropli, drążyć jaskinie, które dosłownie dziurawiły tę planetę.

— Tak dobrze znasz drogę, że przysiągłbym, iż jesteś Marsjaninem.

Cichy śmiech Arkaliona niósł się daleko.

— Powiedziałem, że nie wolno robić hałasu. Proszę! A jeśli chodzi o Marsjan, to jedynymi Marsjanami tu w okolicy, są tylko ludzie z Ziemi. Ach, no to jesteśmy.

U dołu odcinka schodów Temple zobaczył drzwi, metalowe, sprawiające wrażenie mocy, bez wielkiego ciężaru. Arkalion zatrzymał się na chwilę, poruszał grupą dźwigni, niecierpliwie pokręcił głową i zaczął wszystko od nowa.

— Po co to robisz? — chciał wiedzieć Temple.

— A jak myślisz? To zamek szyfrowy z pięcioma milionami możliwych kombinacji. Czy chcesz tu siedzieć przez całą wieczność?

— Nie.

— Więc, cicho.

Temple mgliście zastanawiał się, dlaczego drzwi nie są strzeżone.

— Przy takim zamku — wyjaśnił Arkalion, jakby odczytał myśl Temple'a — nie potrzeba żadnych innych środków ostrożności. Zakłada się, że tylko upoważniony personel zna tę kombinację.

A więc Arkalion był tutaj już wcześniej? To wydawało się jedynym możliwym założeniem. Ale kiedy? I jak?

— No to, jesteśmy — powiedział Arkalion.

Drzwi otworzyły się w ich stronę.

Temple ruszył naprzód i znalazł się w wielkiej pustej sali, zaskakująco dobrze oświetlonej. Po półmroku jaskini ledwo mógł patrzeć.

— Nie stój tak, krzywiąc się i marszcząc czoło. Jest jeszcze jeden środek ostrożności – alarm w Centrali. Mamy około pięciu minut, nie więcej.

Na jednym końcu pustej sali stało coś, co dla Temple'a wyglądało jak staroświecka budka telefoniczna, tyle że jej ściany były całkowicie nieprzezroczyste. Na przylegającej do niej ścianie znajdowała się pojedyncza dźwignia z dwoma położeniami oznaczonymi „stop" i „transport". Dźwignia stała pewnie w pozycji „stop".

— Jesteś pewien, że chcesz iść ze mną? — dopytywał się Arkalion.

— Tak, powiedziałem ci to.

— Dobrze. Nie mam czasu na wyjaśnienia. Wejdę do przenośnika.

— Przenośnik?

— Ta budka. Poczekasz, aż drzwi się zamkną, a potem pociągniesz dźwignię w dół. To wszystko, ale jak widać, jest to operacja dwuosobowa.

— Ale, w jaki sposób ja…

— Szybko, szybko! Na drugim końcu, są podobne elementy sterujące. Pociągnij za dźwignię, poczekaj dwie minuty, sam wejdź do przenośnika. Przeniosę cię… jeśli jesteś pewien.

— Jestem pewien, do cholery!

— Pamiętaj, idziesz bez szkolenia, bez możliwości, jakie mają wszyscy inni.

— Już mi to mówiłeś. Mars jest w połowie drogi do wieczności. Mars to więzienie. Jeśli nie mogę wrócić na Ziemię, chcę iść… no cóż, Donikąd. Jest tu zbyt wiele duchów, zbyt wiele wspomnień, z którymi nic nie można zrobić.

Arkalion wzruszył ramionami i wszedł do budki.

— Pociągnij za dźwignię — powiedział i zamknął drzwi.

Temple wyciągnął rękę, mocno chwycił dźwignię w dłoń i szarpnął. Przesunęła się płynnie do pozycji oznaczonej „transport". Temple nic nie słyszał, nic nie widział, zaczął już myśleć, że urządzenie, cokolwiek by to było, nie działa. Czy Arkalion w jakiś sposób został przeniesiony w środku kabiny?

Templemu zdawało się, że słyszy kroki na schodach, na zewnątrz. Wkrótce, usłyszał słabe głosy. Ktoś zaczął walić w drzwi do holu. Oblizując suche wargi, Temple otworzył budkę i zajrzał do środka.

Pusta.

Głosy krzyczały, pięści waliły w drzwi. Coś kliknęło. Opadły zapadki Drzwi do wielkiej jasno oświetlonej sali przesunęły się na zewnątrz. Ktoś wpadł na Temple'a, który przywitał go brutalnie krótkim ciosem w

szczękę. Człowiek, chwilowo oślepiony jaskrawym światłem, potknął się i poleciał z powrotem na rządek swoich towarzyszy.

Temple wskoczył do kabiny przenośnika i zatrzasnął ją. Po zewnętrznej stronie złapały ją palce.

W uszach Temple'a rozdzwonił się dźwięk, niemalże zbyt intensywny by można go było usłyszeć. Natychmiast stracił przytomność.

Rozdział 6

— **C**o za pokręcony świat — powiedział Alaric Arkalion Senior do swojego syna. — Z pewnością nie da się niczego planować, nawet jeśli ktoś ma więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek będzie potrzebować w życiu.

— Nie mów tak — odparł młody Alaric. — Nie jestem już w więzieniu, czyż nie?

— Nie. Ale nie jesteś zwolniony z podróży Donikąd. Zostałem poinformowany, że jest niezapowiedziana specjalna Podróż Donikąd, za dwa tygodnie od dzisiaj.

— O?

— Tak, o. Zostałem również poinformowany, że weźmiesz w niej udział. W końcu jednak nie umknąłeś przeznaczeniu, Alaricu.

— Och. Och!

— Najbardziej niepokoi mnie to, że temu łajdakowi Smithowi udało się uciec. Jeszcze go nie znaleźli, zostałem też poinformowany. A ponieważ moja umowa z nim wymaga zapłacenia dziesięciu milionów dolarów za wykonane usługi, będę musiał zapłacić.

— Ale to nie uchroniło mnie…

— Nie mogę tej sprawy nagłaśniać, Alaricu! Ale posłuchaj, synu, kiedy dotrzesz tam, dokąd zmierzasz, prawdopodobnie znajdziesz tam innego Alarica Arkaliona, swojego sobowtóra. Oczywiście, to będzie Smith. Jeśli udałoby ci się skłonić go do obniżenia ceny o połowę, z powodu tego co się wydarzyło, byłbym zachwycony. Gdybyś w jakiś sposób zdołał skręcić mu kark, byłbym jeszcze bardziej zachwycony. Dziesięć milionów dolarów za nic.

— **J**estem taka podekscytowana — mruknęła pani Draper. Stephanie obserwowała ją na jednym z nowych telewizorów, zainstalowanym niedawno w miejsce telefonu.

— Co się stało?

— Nasza ustawa została przyjęta miażdżącą większością głosów w obu izbach Kongresu!

— Ooo! — zawołała Stephanie.

— Niezbyt to spójne, moja droga, ale dokładnie takie są moje odczucia. Za dwa tygodnie odbędzie się Podróż Donikąd, specjalna podróż, w której wśród pasażerów znajdzie się kobieta.

— Ale studium, które należało wykonać…?

— Już zostało wykonane. Z tego co rozumiem, nie udało im się posunąć zbyt daleko. Większość ich wniosków musiała opierać się na przypuszczeniach. Najważniejszy jednak jest fakt: kobieta zostanie wysłana. Sposób, moja droga, w jaki LPE wyobraża sobie realizację tego zadania, jest następujący: należy wybrać kobietę mieszczącą się w

przedziale wiekowym od dwudziestu jeden do dwudziestu sześciu lat, kobietę, która spełnia wszystkie wymagania stawiane młodym mężczyznom.

— Tak — powiedziała Stephanie. — Oczywiście. I właśnie pomyślałam sobie, że mogłabym…

— Niech pani pamięta o tej skórze na niedźwiedziu! — ostrzegła ją pani Draper. — Mamy już sto siedemdziesiąt siedem ochotniczek, które rozszarpią się nawzajem na kawałki, aby mieć szansę na wyjazd.

— Myli się pani — stwierdziła Stephanie, uśmiechając się. — Macie teraz już sto siedemdziesiąt osiem ochotniczek.

— Miejsce jest tylko dla jednej, moja droga. Tylko dla jednej, wie pani.

— A więc proszę wykreślić inne ze swojej listy. Ja już pakuję swoją torbę.

Kiedy Temple odzyskał przytomność, miał wrażenie, że nie minęło więcej niż ułamki sekundy. Tak wiele rzeczy wydarzyło się tak szybko, że do tej pory nie miał czasu się nad tym wszystkim zastanowić.

Arkalion zniknął.

Zniknął – nie można było użyć innego słowa. Był tutaj, stał w budce – a potem go nie było. Proste. W jednej chwili go widział, w następnej już nie. Do widzenia, Arkalionie.

Ale też, do widzenia Temple. Czyż Temple nie wszedł do tej samej budki, czekając może z sekundę, aż Arkalion aktywował mechanizm po drugiej stronie? I z pewnością Temple'a nie było już teraz w budce. Uśmiechnął się, widząc śmiesznie prostą logikę swoich myśli. Stał na otwartym polu, źdźbła trawy wyrastały mu do kolan, równie jaskrawo fioletowe, co zielone. Widać było tylko falujące trawy, poruszane jak przypływ przez łagodny wiatr, i wzgórza ciągnące się w stronę horyzontu, w którymkolwiek kierunku by się nie zwrócił. W oddali, pofalowane wzgórza wznosiły się do połowy miękkiego fioletowego nieba. Ponure, czerwone słońce o widocznym dysku dwa razy większym od Słońca, ale na pierwszy rzut oka o jednej drugiej jego jasności, stało na niebie w połowie drogi między zenitem a horyzontem, dopełniając obrazu tego spokojnego obcego świata.

Gdziekolwiek się znajdował, to nie była Ziemia ani Mars.

Donikąd?

Temple wzruszył ramionami i zaczął iść. Wybrał kierunek marszu na chybił trafił, wydeptując za sobą łatwo dostrzegalną ścieżkę w zaskakująco kruchej trawie. Ciepłe słońce przyjemnie grzało mu plecy, a delikatny, podmuch wiatru pieścił policzki. Po Arkalionie nie było widać nawet śladu.

Dwie godziny później Temple dotarł do wzgórz i zaczął się wspinać po ich łagodnych zboczach. Wtedy zobaczył zbliżającą się biegiem postać. Pół minuty zajęło mu uświadomienie sobie, że biegacz nie jest w pełni człowiekiem.

Po miesiącach bezczynności w stanie nieważkości, z Zofią zaczęło się coś dziać. Poczucie wagi powróciło, ale z siłą jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyła. Czuła się tak, jakby ktoś usiadł na każdym calu jej ciała i miażdżył je. To sprawiło, że sapnęła, zmusiła się do zamknięcia oczu i chociaż tego nie widziała, potwornie wykrzywiła twarz. Straciła przytomność, przychodząc do siebie jakiś czas później, z okropnym uczuciem zmęczenia. Ktoś niewyraźny wpłynął jej w pole widzenia i poczuła króciutkie ukłucie igłą w ramię. Usnęła.

Leżała na stole, rozciągnięta, a światła oświetlały ją jaskrawo. Słyszała głosy.

— Nowy system okazał się znacznie lepszy w testach, towarzyszu.

— Znacznie bardziej efektywny, znacznie bardziej obiektywny. Tak.

— Mózg emituje drgania elektromagnetyczne. Dziwne, czyż to naprawdę nie dziwne, że nikt wcześniej nie wyobrażał sobie nawet, iż drgania te mogą wiele nam przekazać? Całkowicie dokładne informacje, których nie mogłyby nam dać nawet całe lata testów.

— W Rosji zaszliśmy daleko w dziedzinie nauk biologicznych i psychologicznych. Zachód wybija się dzięki fizyce. Dajcie im Marsa, pfff, mogą sobie mieć tego Marsa.

— To prawda, towarzyszu. Podróż na Jowisza jest dłuższa, pochłania więcej czasu, wymaga większych kosztów. Ale tutaj, na Jowiszu, możemy zrobić coś, czego oni nie mogą zrobić na Marsie.

— Wiem.

— Możemy tworzyć nadludzi. Nadludzi, towarzyszu. Z mariażu Nietzschego i Marksa.

— Ostrożnie. To niebezpieczne myśli.

— To tylko aluzja, towarzyszu. Tylko nieszkodliwa aluzja. Ale bierzecie zwykłego człowieka i trenujecie go na Jowiszu, ogromnie przyspieszając poczucie czasu i tempo metabolizmu dzięki pewnym wydzielinom hormonalnym, tak że jeden dzień wydaje mu się trwać tak długo jak miesiąc. Bierzecie go i poddajecie silnemu przyciąganiu grawitacji Jowisza, ponad dwukrotnie większemu niż Ziemi – i za trzy tygodnie macie, tak – macie nadczłowieka.

— Kobieta się budzi.

— Ćśśś. Nie wystraszcie jej.

Zofia przeciągnęła się, bolały ją wszystkie mięśnie. Usiadła powoli, jak we śnie. Sama czynność wyprostowania tułowia, wymagała użycia ogromnej siły!

— Co mi zrobiliście? — zawołała, a jej wciąż zamglony wzrok skupiał się na dwóch mężczyznach.

— Nic, towarzyszko. Odprężcie się.

Zofia obróciła się powoli na stole, przerzuciła jedną długą, zgrabną nogę przez jego krawędź.

— Ostrożnie, towarzyszko.

Przed czym ją ostrzegali? Chciała tylko wstać i przeciągnąć się; może wtedy poczuje się lepiej. Jej palec u nogi dotknął podłogi, przerzuciła drugą nogę, świadoma swojej nagości ale ignorując ją.

— Dobry okaz.

— Och, tak, towarzyszu. Więc tym razem wysyłali pośród innych kobietę. No cóż, zrobimy naszą robotę. Popatrzcie, jakie ona ma kształty, jaka jest gibka, jakie ma swobodne kończyny, jaka jest zwinna. Zobaczcie wycieniowanie mięśni – jej piękno pozostanie, towarzyszu, ale Jowisz uczyni z niej Amazonkę.

Zofia stała teraz obiema nogami na podłodze. Oddychała ciężko, nagle poczuła mdłości w żołądku. Położyła obie ręce na krawędzi stołu, odepchnęła się i zatoczyła, robiąc dwa lub trzy kroki. Skuliła się, załamując się najpierw w kolanach, potem w talii, i upadła skręcona oraz zwinięta.

— Podnieście ją.

Poczuła ręce pod ramionami, ciągnięcie. Z łatwością wzięto ją z podłogi, była mgliście świadoma, że ktoś bez wysiłku podniósł jej sto trzydzieści funtów.

— Postawcie mnie! — zawołała. — Chcę jeszcze raz spróbować. Jestem kaleką, kaleką Okaleczyliście mnie…

— Nic podobnego, towarzyszko. Jesteście zmęczeni, słabi, a pole grawitacyjne Jowisza nadal jest dla was zbyt silne. Jednak krok po kroku, wasze mięśnie będą się wzmacniać by sprostać wymaganiom Jowisza. Grawitacja uniemożliwi ich rozrost, rozszerzanie się, ale wasze włókna mięśniowe będą dwu-, trzykrotnie mocniejsze w stosunku do swojej pierwotnej siły. Czy czujecie podekscytowanie?

— Czuję się zmęczona i chora. Chcę spać. Co to jest Jowisz?

— Jowisz to planeta okrążająca Słońce – nieważne, towarzyszko. Musicie się wiele nauczyć, ale możecie przyswoić wiedzę podczas snu, w znacznie łatwiejszy sposób. Śmiało, śpijcie.

Zofia wymiotowała, źle się czuła. Od lat nie płakała. Ale naga, wystraszona i oszołomiona marzyła o śnie.

Kiedy spała, wydarzyło się wiele rzeczy. Pewne ekstrakty endokrynologiczne niesamowicie przyspieszyły jej metabolizm. Pół godziny później, serce pompowało krew w jej ciele z szybkością 200 uderzeń na minutę. Godzinę później osiągnęło pełną prędkość, prawie tysiąca skurczów co sześćdziesiąt sekund. Wszystkie inne jej funkcje metaboliczne odpowiednio się poprawiły i Zofia przespała głęboko tydzień czasu subiektywnego, w kilka godzin. Ta sama maszyna, która odbierała wszystko z jej umysłu o wiele dokładniej niż seria testów, stanowiąca udoskonalenie elektroencefalografu, była teraz wykorzystywana do odtwarzania w odwrotnym kierunku, oddając Zofii wszystko, co jej zabrała, plus elektroszpulę za elektroszpulą wiedzy naukowej: matematyki, logiki, ekonomii, historii (marksistowskiej, te dwie ostatnie), języków (w tym angielskiego), semantyki i pewnych specjalistycznych wiadomości, których będzie potrzebowała później na Stalintreku.

Wciąż śpiąca Zofia została skąpana w ciepłym wirze kojącego płynu; wcierano go w nią, masowano ją, rozpoczęto napinanie jej mięśni, podczas gdy ona odpoczywała i odzyskiwała siły. Trzy godziny później, czasu obiektywnego, obudziła się z bólem głowy i większą ilością myśli wirujących szaleńczo w jej głowie, niż przypuszczała że mogłaby mieć.

Ostrożnie spróbowała ponownie stanąć na nogi, wychodząc naga i ociekająca wilgocią, z wanny parującej bursztynowej cieczy. Wstała, przeciągnęła się, pozwalając, by strach zniknął wraz z szybką falą zawrotów głowy, które ją ogarnęły. Karmiono ją dożylnie, ale teraz pochwycił ją ogromny głód. Jednak przed jedzeniem musiała udać się do sali gimnastycznej, ze stojącym i dusznym powietrzem. Została ponownie wymasowana, kazano jej wykonywać pewne ćwiczenia, które wydawały się proste, ale które okazały się niezwykle trudne, zmuszano ją do biegania, dopóki nie myślała, że upadnie ze zmęczenia, nogi ciągnęły jej się jak ołów.

Teraz rozumiała co się dzieje. W jakiś sposób wiedziała, że znalazła się na Jowiszu, piątej i największej planecie, na której siła grawitacji jest tyle razy większa niż na Ziemi, że nawet chodzenie jest trudne. Wiedziała również, że tempo jej metabolizmu zostało przyspieszone ponad wszelkie wyobrażenia i że w stosunkowo krótkim czasie – czasie obiektywnym – uzyska siłę trzykrotnie większą od jej pierwotnej. Wiedziała to wszystko, nie mając pojęcia, skąd to wie, i była to najbardziej zdumiewająca rzecz ze wszystkich. Robiła to, co kazali jej lakoniczni instruktorzy, po czym zawlekła swe obolałe ciało i bolącą głowę do jadalni, gdzie wszędzie siedzieli przy jedzeniu zmęczeni, wyglądający na nieszczęśliwych, mężczyźni. No cóż, przynajmniej jedzenie było dobre. Zofia zaatakowała je żarłocznie.

Temple'owi nie zajęło dużo czasu, aby uświadomić sobie, że stwór, który biegł z góry w jego stronę, pozostawiając we fioletowo-zielonej trawie wygnieciony i połamany ślad, nie był człowiekiem. Początkowo Temple uznał go za człowieka na koniu, ponieważ istota biegła na czterech dolnych kończynach, i posiadała jeszcze dwie inne, wykorzystywane jako ręce. Temple wybałuszył oczy.

Ten stwór był jedną całością!

Centaur?

Nie za bardzo. Po pierwsze, za mały. Nie większy niż człowiek, pomimo trzech par kończyn. Potem Temple nie miał już czasu, aby dłużej się gapić, bo stworzenie, czymkolwiek by ono nie było, przemknęło obok niego, jak teraz musiał uznać, galopem.

Podążały za nim kolejne. Inne. Temple stał i patrzył. Jedno można było określić, jako wielką żywą obręcz, toczącą się w dół zbocza i nabierającą rozpędu. Gdyby podążać dalej za analogią koła, z miejsca w którym znajdowała się piasta, wpatrywało się w niego wielkie oko. Jakiś inny stwór zmierzał za nim, kangurzymi skokami. Jedna gruba, masywna noga, wyrzucała go do przodu, ogromnymi piętnastostopowymi krokami, podczas gdy małe, przypominające klapki ręce, z niesamowitą szybkością biły w powietrzu.

Całe legiony stworzeń. Każde z nich fantastycznie odmienne od innych. „Zwariowałem", pomyślał Temple, po czym powiedział to na głos.

— Zwariowałem.

Teoretyzując w ten sposób, usłyszał nad głową warkot, odwrócił się i spojrzał do góry. Coś unosiło się kilkanaście stóp nad ziemią, duży, podobny do pudełka obiekt o średnicy siedmiu lub ośmiu stóp, a nad nim obracały się wirniki. Przynajmniej to był w stanie zrozumieć. Helikopter.

— Opuszczam ci drabinkę, Kit. Wskakuj na pokład.

Głos Arkaliona.

Wystarczająco mocno oszołomiony, by zaakceptować wszystko, co zobaczył, Temple zaczekał, aż drabinka opadnie, chwycił za jej koniec i wspiął się po niej. Przerzucił nogi przez podłogę i znalazł się w schludnej małej kabinie razem z Arkalionem, który wciągnął już drabinę i zrobił coś ze sterami. Szybko odlecieli. Temple przez jedną krótką chwilę mógł trzeźwo pomyśleć, zanim wszystko co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku minut usunęło całą logikę na bok. To, co obserwował, wyglądało jak wyścig na bieżni.

— Gdzie my, do diabła, jesteśmy? — zapytał bez tchu Temple.

Arkalion uśmiechnął się.

— A jak myślisz? Koniec podróży. Witaj w Donikąd, Kit. Witaj w miejscu, w którym można podać odpowiedzi na wszystkie twoje pytania, ponieważ nie ma stąd drogi powrotu. Przepraszam, że przez pomyłkę wysłałem cię przypadkowo na te pola. Takie rzeczy czasami się zdarzają.

— Czy mogę po prostu zadać te pytania tobie?

— Jeśli chcesz. Nie jest to naprawdę konieczne, ponieważ zostaniesz wprowadzony, kiedy przeniesiemy cię do Earth City, w którym powinieneś się znaleźć.

— Co masz na myśli, mówiąc, że nie ma stąd drogi powrotu? Myślałem, że mamy system rotacji, który z tego czy innego powodu nie jest w tej chwili praktyczny. To nie brzmi jak brak możliwości powrotu, nigdy.

Arkalion chrząknął i wzruszył ramionami.

— Zróbmy to po twojemu. Wiem.

— Przepraszam. Dawaj.

— Jak myślisz, jak daleko się znalazłeś?

— Nie mam pojęcia. Może jakiś inny układ gwiezdny?

— Może. Dokładnie po drugiej stronie galaktyki, Kit.

Temple cicho gwizdnął.

— To nie jest rzecz, którą można ogarnąć, słysząc to. Po drugiej stronie galaktyki…

— Nie to jest w tej chwili najważniejsze. Jak myślisz, ile czasu zajęła ci ta podróż?

Temple z zapałem skinął głową.

— To właśnie mnie zdumiało. To było niesamowite, Alaric. Naprawdę niesamowite. Cała podróż nie mogła zająć więcej niż chwilę lub dwie. Nie rozumiem. Czy przeszliśmy z normalnej przestrzeni w jakąś inne - hmm, kontinuum i w ten sposób przemknęliśmy przez całą długość galaktyki?

— Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak. Ale twoje stwierdzenie jest dalekie od prawdy. Podróż nie zajęła kilku sekund, Kit.

— Nie? Była natychmiastowa?

— Trwała o wiele dłużej niż kilka sekund. Aby dotrzeć tutaj z Ziemi, przebyłeś pięć tysięcy lat.

— Co?

— Mówiąc dokładniej, opuściłeś Marsa pięć tysięcy lat temu. Do powrotu potrzebowałbyś wehikułu czasu, a coś takiego nie istnieje. Ziemia, którą znasz, jest o długość galaktyki stąd oraz pięć tysięcy lat w przeszłości.

Rozdział 7

Mogłoby to być miasto w Nowej Anglii albo w Wisconsin. Główna ulica ciągnęła się przez pół mili, od ratusza do małego domu towarowego. Światła neonów, rozjaśniały front każdego sklepu, przez duże szklane okna widać było zajętych pracą właścicieli. Panował zgiełk, jakiego można by było oczekiwać na każdej głównej ulicy w Nowej Anglii lub w Wisconsin. Ale tej analogii nie można było ciągnąć w nieskończoność.

Wszędzie dookoła byli tylko mężczyźni. Żadnej kobiety.

Wzgórza, na których leżało miasto, były za bardzo purpurowe – nie purpurowe z powodu odległości, ale z powodu naturalnego koloru trawy.

Na bladofioletowym niebie wisiało ponure czerwone słońce.

To było Earth City, w Donikąd.

Arkalion zostawił Temple'a na pobliskich wzgórzach, obiecując, że jeszcze się zobaczą.

— To może nie być tak szybko — powiedział Arkalion, — ale co za różnica? Spędzisz tutaj resztę swojego życia. Zdajesz sobie sprawę, że masz szczęście, Kit. Gdybyś nie dotarł tutaj, byłbyś martwy od pięciu tysięcy lat. Powodzenia.

Martwy od pięciu tysięcy lat. Ziemia, jaką znał, obróciła się w pył. Stephanie, nie żyła od pięćdziesięciu pokoleń. Donikąd, to była dobra nawa. Koniec wszechświata.

Temple szurając nogami powlókł się do miasta. Na ulicy minął go zgarbiony, siwowłosy mężczyzna. Mężczyzna skinął głową i delikatnie się zastanowił. Jestem tu nieznajomą twarzą, pomyślał Temple.

— Cześć — powiedział. — Jestem tu nowy.

— Tak właśnie myślałem, nieznajomy. Znam prawie wszystkich w tych stronach i powiedziałem sobie, że to musi być nowy przybysz. Zabawne, że nie przybyłeś tutaj w normalny sposób.

— Jednak tu jestem — odparł Temple.

— Tak. Zabawna sprawa, musisz poznać wszystkich. Ech, jak powiedziałeś, że się nazywasz?

— Christopher Temple.

— Do moich obowiązków należy, żeby znać każdego. Tak, sąsiedzkim zwyczajem, jak zawsze mówię. Temple, co? Mamy tutaj jednego.

— Jednego, co?

— Innego gościa o nazwisku Temple. Jase Temple, synu.

— A niech mnie diabli! — zawołał Temple, nagle się uśmiechając. — Niech mnie diabli. Powiedz mi, gdzie go mogę znaleźć?

— Może być gdziekolwiek. Miasto jest większe, niż się wydaje. Powiem ci jednak, że Jase Temple to nasz koordynator. Może znajdziesz go w biurze koordynatora. W Ratuszu, na końcu ulicy.

— Niedawno go minąłem — powiedział Temple do mężczyzny. — I dzięki.

Nogi Temple poniosły go w szybkim tempie, koło szeregu frontów sklepów do ratusza. Przeczytał spis pokojów na ścianie, wszedł po schodach i znalazł drzwi z napisem:

Jason Temple
Koordynator Earth City

Z bijącym sercem, Temple zapukał i usłyszał wołanie „Wejść".

Pchnął drzwi i popatrzył na swojego brata, podnoszącego się właśnie, aby przed nim stanąć.

— Kit! Kit! Co tu robisz... więc ty też wyruszyłeś w podróż!

Jason podbiegł do niego, złapał go w ramiona i klepał od tyłu po barkach.

— Świetnie wyglądasz, Kit. Prędzej śmierci bym się spodziewał, niż tego że tak sobie tutaj wejdziesz.

— Ty też wyglądasz doskonale, Jase — skłamał Temple.

Nie widział brata od pięciu lat i nie spodziewał się, że znowu go jeszcze kiedyś zobaczy. Ale pamiętał uśmiechniętego człowieka o pełnej twarzy, nieco wyższego od siebie, nieco szerszego w ramionach. Jason, którego zobaczył wyglądał na czterdzieści pięć lub pięćdziesiąt lat, a przecież ledwie skończył dwadzieścia parę. Miał dzikie, pełne stłumionego ognia oczy, wychudzone policzki, siwiejące włosy. Wydawał się kłębkiem niespokojnej, nerwowej energii.

— Siadaj, Kit. Mów, braciszku. Zacznij opowiadać i nie przestawaj aż do następnego tygodnia. Opowiedz mi o wszystkim. O wszystkim! Opowiedz mi o błękitnym niebie i księżycu w nocy oraz o tym jak ocean wygląda w wietrzny dzień i...

— Pięć lat — powiedział Temple. — Pięć lat.

— Masz na myśli pięć tysięcy — przypomniał mu Jason. — To prawie niemożliwe. Jak się mają rodzice, Kit?

— Z mamą wszystko w porządku. Z tatą też. Wyżywa się sportowo w nowym pionowzlocie Chambersa. Powinieneś go zobaczyć, Jase. Ostry jest.

— A co z Ann? — Jason spojrzał na niego z nadzieją. Ann była Stephanie Jasona – gdyby nie podróż Donikąd, pobrali by się.

— Ann wyszła za mąż — powiedział Temple.

— Och. Och. To super, Kit. Naprawdę świetnie. Mam na myśli to że, do diabła, dziewczyna nie powinna czekać wiecznie. W każdym razie mówiłem jej, żeby tego nie robiła.

— Czekała cztery lata, a potem poznała faceta i…

— Miły chłopak?

— Najlepszy — zapewnił go Temple. — Polubiłabyś go.

Temple dostrzegł, jak w pełnych tłumionego ognia oczach Jasona, pojawił się mglisty wyraz bólu. A więc, to się nie zmieniło. Pewna część

Jasona chciała, żeby Ann pozostała jego, nawet poprzez tę niemożliwą do ogarnięcia odległość, inna jego część chciała, żeby miała dobre, pełne szczęścia życie.

— Cieszę się — stwierdził Jason. — Nie mogę oczekiwać, że dziewczyna będzie czekać nie mając żadnej nadziei…

— A więc nie ma nadziei, że kiedykolwiek wrócimy?

Jason zaśmiał się szorstko.

— Ty mi to powiedz. Ziemia nie tylko jest oddalona o sześćdziesiąt tysięcy lat świetlnych. Kit, czy ty wiesz, co to jest rok świetlny?

Temple odparł, iż wydawało mu się, że tak.

— Sześćdziesiąt tysięcy. Tuzin wieczności. Ale wiemy również, że Ziemia jaką znamy jest martwa. Martwa od pięciu tysięcy lat. Rodzice, Center City, Ann, jej mąż – wszyscy zamienili się w pył. Mają pięć tysięcy lat… Nie pytaj mnie, Kit.

— Pewnie. Pewnie, rozumiem. — Ale Temple nie rozumiał, nie tak naprawdę. Nie można było wziąć pięciu tysięcy lat i wyrzucić ich do śmieci, w odstępie czasu jaki mijał, jak się wydawało, pomiędzy dwoma uderzeniami serca, a potem zrozumieć, że minęły one bezpowrotnie, na zawsze. Nie w przypadku okresu czasu równie długiego jak zapisana cywilizacja – nie można było tego wziąć, obciąć na roku 1992 i zaakceptować tego. W jakiś sposób, jak uświadomił sobie Temple, te pięć tysięcy lat było trudniejsze do przełknięcia niż sześćdziesiąt tysięcy lat świetlnych.

— No cóż — Jason z widocznym wysiłkiem wyrwał się z zadumy. Temple z wdzięcznością przyjął papierosa, pierwszego od dłuższego czasu. Od pięćdziesięciu stuleci, pomyślał gorzko, pogrążając się głębiej w strachu.

— No dobrze — oznajmił Jason - zachowuję się jak kompletny dupek. Jam mogłem być tak samolubny. Musi być wiele rzeczy, o których chciałbyś się dowiedzieć, Kit.

— W porządku. Powiedziano mi, że zostanę wprowadzony.

— Zwykle tak by było. Ale teraz nie ma żadnej dostawy, i nie będzie przez następne trzy miesiące. Powiedz, jak, do diabła, się tutaj znalazłeś?

— To długa historia. Podróż Donikąd taka sama jak w twoim przypadku, z niewielką pomocą, aby przyspieszyć sprawy na Marsie. Jase, powiedz mi taką rzecz: co my tu robimy? Co tutaj robią ci wszyscy ludzie? O co chodzi z tą Podróżą Donikąd? Co za cholerny wyścig biegaczy widziałem parę chwil temu, z bandą stworzeń rodem z teliowizyjnych seriali science fiction?

Jason zgasił papierosa, ale zmienił zdanie i zapalił kolejnego.

— Coś, jak w tym starym żarcie, gdzie ma się zarejestrować obcy?

— Coś w tym rodzaju.

— To wielki wszechświat — oznajmił Jason najwyraźniej rozpoczynając jakąś dłuższą kwestię.

— Właśnie zaczynam sobie uświadamiać, jak duży!

— Byłoby raczej trudne do wyobrażenia, gdyby ludzkość uważała się za jedyną rozumną formę życia, a Ziemię za jedyne siedlisko inteligencji, zarówno z naukowego, jak i religijnego punktu widzenia. W pewnym

sensie spodziewaliśmy się, że znajdziemy w kosmosie sąsiadów. Kit, niebo jest pełne gwiazd, większość gwiazd ma planety. Wszechświat kipi życiem, wszelkiego rodzaju życiem, wszelkiego rodzaju inteligentnymi formami życia. Krótko mówiąc, nie jesteśmy sami. To byłoby tak, jakbyśmy lecieli promem odrzutowym z Waszyngtonu do Nowego Jorku w czasie wieczornego szczytu i spodziewali się, że będziemy sami na pokładzie. W rzeczywistości ma się szczęście, jeśli jest gdzie usiąść.

— Istnieją dwunożne istoty inteligentne, tak jak ludzie. Istnieją inteligentne istoty radialne, gatunki jednonogie, stworzenia wysokie i tyczkowate, oraz przysadziste, a nawet podobne do naleśników. Giganci i karły. Zielonoskóre, różowe, i czarne jak węgiel – oraz, tak, całkowicie pozbawione skóry. Istnieją… ale chwytasz już ideę.

— Acha.

— Co dziwne, większość z tych inteligentnych cywilizacji jest na mniej więcej tym samym poziomie rozwoju. To tak, jakby Stwórca ustawił wszystkich razem, jak do wyścigu, i powiedział: „No dobra, zaczynajcie chłopcy.” Może dlatego, że, jak sądzą naukowcy, cały wszechświat został uruchomiony i zaczął działać jako jedna całość. Nie wiem. W każdym razie tak jest. Wszystkie inteligentne rasy, o których warto wspominać, są mniej więcej na tym samym poziomie cywilizacyjnym. Atomistyka, prymitywne loty kosmiczne, wojny z którymi sobie nie radzą.

— I to jest interesujące, Kit. Większość z nich to istoty dwunożne. Nie do końca ludzkie, nie w pełni ludzkie. Bez trudu można dostrzec różnice. Ale siedemdziesiąt pięć procent ras, które spotkałem, miało wiele podstawowych podobieństw. Przypadek stwórcy, który próbuje znaleźć najlepszy ze wszystkich możliwych wzorców życia i wymyśla właśnie ten. Oferuje szeroki zakres działania, adaptacji itp. Chyba, zaczynam się za bardzo rozpraszać.

— Spokojnie. Z tego, co mi mówiłeś, mamy cały czas na świecie.

— No cóż, powiedziałem, że wszystkie rasy są na tym samym poziomie pod względem rozwoju. To niemal prawda. Jedna z nich nie jest. Jedna z nich jest tak daleko z przodu, że w porównaniu z nią reszta z nas właściwe nie osiągnęła nawet etapu raczkowania. Jedna z nich, Kit, to Super Rasa.

— Ich cywilizacja jest stara, niewiarygodnie stara. Prawdę mówiąc, tak stara, że niektórzy z nas uważają, że kręcili się tu wszędzie, zanim jeszcze Wszechświat przybrał swój kształt. Może właśnie dlatego wszyscy pozostali są na jednym poziomie, kilka miliardów lat za Super Rasą.

— Weźmy więc tę naszą Super Rasę. Z jakiegoś powodu, którego nie możemy zrozumieć, wydaje się być ona na równi w dół. Tak tylko, w przenośni. Może wymiera, może chce spakować graty i całkowicie opuścić galaktykę, a może ma jakieś inne niewyobrażalne sprawy w innych niewyobrażalnych miejscach. Tak czy owak, chce stąd odejść. Ale ma liczący eony lat skład kultury i uważa, że ktoś powinien mieć do niego dostęp, aby utrzymywać galaktykę w porządku. Ale kto? W tym problem. Kto dostanie te wszystkie informacje, milion milionów generacji problemów naukowych, starannie opracowanych. Która spośród wszystkich jednakowo rozwiniętych ras, żyjących na planetach

Wszechświata? To spory problem, nawet dla naszych chłopców z Super Rasy.

— Można by jednak pomyśleć, że znajdą jakiś sposób rozwiązania tego problemu. Za pomocą maszyn liczących lub czegokolwiek innego, co zastąpi maszyny liczące, po tym jak Ziemianie i wszyscy inni wykonają kolejny chwiejny krok, za jakieś parę tysięcy lat. Lub korzystając ze zdrowego chłopskiego rozumu oraz logiki, rozwiniętych – po milionach lat – do poziomu na którym nigdy nie zawodzą. Albo rozwiążą problem za pomocą czegoś, o czym nigdy nie słyszeliśmy, ale co w końcu go rozwiąże.

— Ale co to wszystko ma wspólnego z…? To znaczy, chciałem powiedzieć, że to ciekawa historia i kiedy zdołam ją przetrawić pewnie zacznę dyszeć z ekscytacji, ale co to ma wspólnego z Donikąd i…

— Już do tego dochodzę. Kit, a co byś powiedział, gdybym ci zdradził, że najbardziej inteligentna rasa, jaką kiedykolwiek stworzył Wszechświat, rozwiązuje największy problem, z jakim ktokolwiek kiedykolwiek się spotkał, przy pomocy gier?

— Powiedziałbym, że lepiej mów dalej.

— Taki jest cel Donikąd, Kit. Każda planeta, każda rasa ma swoje Donikąd. Wszyscy tu przybywamy i gramy w gry. Planeta z najwyższym wynikiem na końcu Bóg wie jak długiego okresu, wygrywa Wszechświat, z całą wiedzą naukową i mądrością potrzebną do przekształcenia tego Wszechświata w trzy nieba. Aby o tym wszystkim zdecydować, gramy w gry.

— Nie zrozum mnie źle. Nie skarżę się. Jeśli Superchłopcy mówią, że mamy grać, to gramy. Wierzę im na słowo, gdyby mi powiedzieli, że mam piętnaście głów. Ale to jest coś, co nie pozwala ci na zbyt dużo snu. Och, Ziemia ma prawo być dumna ze swoich wyników. Zjednoczona Ameryka Północna zajmuje drugie miejsce w rywalizacji, która jest tak szeroka jak wszechświat. Ale nie jesteśmy pierwsi. Drudzy. A po tym, co się tutaj dzieje, mam przeczucie, że igrzyska zbliżają się ku końcowi.

— Fantastycznie, prawda? Spośród tysięcy uczestników, jesteśmy wystarczająco dobrzy, aby zajmować drugie miejsce. Ale jakaś planeta w pobliżu gwiazdy Deneb beznadziejnie nas zdeklasowała. Możemy równie dobrze zdobyć jakąś dętą nagrodę. Ale wygrają oni i to oni będą posiadać wszechświat – z nami włącznie.

Jason, gdy mówił, pochylał się coraz bardziej do przodu, i siedział już na skraju swojego krzesła. W pokoju panował przyjemny chłód, ale z czoła spływał mu pot, kapał z brody.

Temple zapalił kolejnego papierosa, zaciągając się głęboko.

— Powiedziałeś, że Stany Zjednoczone – Ameryka Północna – są na drugim miejscu. Myślałem, że to rywalizacja obejmująca całe planety, planeta przeciwko planecie.

— Ziemia jest jedynym wyjątkiem, jaki udało mi się znaleźć. Na czele listy stoi planeta Deneb, a następnie Ameryka Północna. Potem planeta gwiazdy, o której nigdy nie słyszałem. Na czwartym miejscu jest Związek Radziecki.

— Niech mnie diabli — stwierdził Temple. — Cóż, okej. Powinienem zachować to do przyszłych rozważań? Mam kolejne pytanie. W jakie – ehem – gry gramy?

— A co byś nie wymienił. Rywalizacja psychologiczna. Problemy naukowe do rozwiązania w laboratoriach zbudowanych zgodnie z naszymi specyfikacjami. Problemy emocjonalne z dziesiątkami ludzi każdego roku wpadającymi w neurozy lub gorzej. Problemy z adaptacją. Reakcja na wyzwania środowiskowe. Konkursy wytrzymałości. Testy siły; wytrzymałości. Testy mające na celu określenie głębi emocji. Testy mające na celu określenie obiektywności w sytuacji, która powinna być obiektywna. A sposób, w jaki wszystko jest zorganizowane, przypomina niemalże olbrzymie niekończące się igrzyska olimpijskie, w których tak przy okazji są też zawody sportowe.

— Z całą oprawą widowiskową?

— Nie. Ale to już inna historia.

— W takim razie, to co widziałem, to wyścig biegaczy! I przepraszam, Jase, ale mam jeszcze inne pytanie.

Jason wzruszył ramionami i rozłożył szeroko ręce.

— Jak to się stało, że pojawiła się cała ta gadka o rotacji? To niemożliwe, nie przy pięćdziesięciu stuleciach odstępu.

— Wiem. Po prostu dopuścili nas do tej małej kwestii dopiero kilka lat temu. Wcześniej w ogóle nie wiedzieliśmy. Myśleliśmy, że to tylko sprawa odległości. Że z czasem, jak to wszystko się skończy, będziemy mogli wrócić do domu. Tak właśnie myśleliśmy — wyjaśnił Jason z goryczą. — Właściwie to dwa razy pięć tysięcy lat. Pięć na przybycie tutaj, pięć na powrót. Od Ziemi, jaką znamy, dzieli nas dziesięć tysięcy lat i nawet gdybyśmy mogli wrócić do domu, to w ogóle nie byłby powrót do domu – tylko na Ziemię dziesięć tysięcy lat w przyszłości.

— Och, podeszli nas. Obawiali się, że moglibyśmy powiedzieć nie lub coś podobnego. Nigdy nie wspominali o długości ani czasie trwania podróży. Nie rozumiem tego, nikt z nas nie rozumie, a mamy tu kilku czołowych naukowców. Ma to coś wspólnego z zawieszeniem procesów życiowych, z antymaterią, z teleportacją, z uśpionymi mocami pozazmysłowymi tkwiącymi we wszystkich, ze zdolnością do rozbicia obiektu – stworzenia lub człowieka – na atomy składowe, do odwrócenia - to właśnie to słowo; odwrócenie – tych atomów i wysłaniu ich w przestrzeń kosmiczną jako antymaterii.

— I wszystko to, sprowadza się do umieszczenia człowieka na Marsie w maszynie, pociągnięcia dźwigni i zmaterializowania go tutaj pięć tysięcy lat później. — Jason uśmiechnął się, jedynie z niewielkim śladem humoru. — Jakieś pytania?

— Mniej więcej tysiąc — przyznał Temple. — Ja…

Coś zabrzęczało na biurku Jasona i Temple patrzył, jak jego brat podnosi mikrofon i mówi:

— Tu Koordynator. Co się dzieje?

Głos, który mu odpowiedział, był tak wyraźny, jakby rozmówca był z nimi w pokoju, i nie było w nim słychać najmniejszego śladu mechanicznego lub elektrycznego przekazu. Mówił on dziwnym, płynnie

sylabizowanym językiem, którego Temple nigdy wcześniej nie słyszał. Jason odpowiedział mu w tym samym języku, z widoczną łatwością, która zaskoczyła Temple'a – dopóki nie przypomniał sobie, że jego brat zawsze miał talent do nauki języków obcych. Może dlatego dostał tę robotę koordynatora – cokolwiek było do koordynowania.

W sposobie, w jaki mówił Jason, słychać było płynność i niepokój. Zmarszczki wyryte głęboko na jego twarzy przez kłopoty, odcinały się ostro, a jego oczy, jeśli to w ogóle możliwe, stały się jeszcze bardziej intensywne.

— No cóż — stwierdził, odkładając mikrofon i wpatrując się w Temple'a, nie widząc go. — Obawiam się, że to załatwia sprawę.

— W czym problem?

— We wszystkim.

— Mogę cokolwiek zrobić?

— Stop. Superchłopcy odkryli, że Ziemia ma tutaj dwa kontyngenty – nasz i Sowietów. Wściekli się. Stop. Coś z tym zostanie zrobione. Stop. Rosja Sowiecka coś zasugerowała, a raczej jej ludzie znajdujący się tutaj. Wystawią konkurenta, który sprosta każdemu z przez nas wybranych, w najtrudniejszych zmaganiach, w czymś związanym z reagowaniem na wyzwania środowiskowe, co może znaczyć cholernie wiele, chyba że coś się tym wie. Mam mówić dalej?

A kiedy Temple energicznie skinął głową, kontynuował.

— Automatycznie przegrywamy z definicji. Jedną z zasad tej konkretnej gry jest to, że zawodnik musi być nowicjuszem. Jest to rodzaj gry, w której nie musisz niczego wiedzieć, a nawiasem mówiąc, jest to również rodzaj gry, w której można zostać zabitym. No cóż, Sowieci mają cały kontyngent nowoprzybyłych do wyboru. My nie mamy żadnych. Jak to widzą Superchłopcy, mamy cholernego pecha. Przegrywamy z definicji.

— Wydaje mi się…

— Jak cokolwiek może ci się wydawać? Jesteś tu nowy… Przepraszam, Kit. Co mówiłeś?

— Nic, mów dalej.

— To tylko połowa z tego. Zaraz po tym, jak Rosja zajmie nasze miejsce i skreśli nas z listy, gra wkracza w ostatnią fazę. Taka pogłoska krążyła przez cały czas i właśnie została potwierdzona. Ciekawe, co robią ze wszystkimi zawodnikami po zakończeniu gier, po tym, jak nie ma już Podróży Donikąd.

— Może wrócimy tam, skąd przybyliśmy.

— Dziesięć tysięcy lat w przyszłości?

— Nie boję się.

— No cóż, w każdym razie Sowieci wystawili człowieka, my nie możemy im odpowiedzieć. Wygląda więc na to, że ZSRR będzie oficjalnie reprezentować Ziemię. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie. I tak mieliśmy szanse bardzo cienkiego płatka śniegu w bardzo gorącym piekle. A jednak…

— Nasz konkurent, ten facet, który ma sprostać wyzwaniu Rosjan, musi być nowicjuszem?

— Tak właśnie powiedziałem. Cóż, domyślam się, że możemy zamknąć interes.

— Pomyliłeś się. Powiedziałeś, że nie ma żadnych nowoprzybyłych. A jestem tutaj ja, Jase. Jestem twoim człowiekiem. Dawaj tego rosyjskiego niedźwiedzia. — Temple uśmiechnął się ponuro.

Rozdział 8

— **M**usicie zostawić to młodszemu braciszkowi Temple'a.

— Tak. Klawo jak cholera.

— Żartujecie? On nie wie, co go czeka, to wszystko.

— A ty wiesz?

— Teraz, kiedy już o tym wspomniałeś, to nie. Nie ma człowieka, który mógłby z całą pewnością powiedzieć, na jakie wyzwania środowiskowe będzie musiał odpowiedzieć. Hipnochirurgia dba o to, żeby goście, którzy przez to przeszli, nie mogli o tym rozmawiać. Jakby to nie było wystarczające zabezpieczenie, podmiot musi być zupełnie nowym przybyszem!

— Ćśś! Idzie tu.

Bracia Temple weszli spokojnie do jedynej tawerny w Earth City, ale po ich przybyciu wszystkie spekulacje ucichły. Długi bar, zbudowany tak, aby wygodnie pomieścić pół setki par łokci, lśnił blaskiem nieznanym Templemu. Mógł to być marmur, ale marmur był raczej półprzezroczysty niż nieprzezroczysty, nadając wspaniały trójwymiarowy efekt wzorom na powierzchni.

— Czego się napijesz? — zapytał Jason.

— Cokolwiek ty pijesz, będzie w porządku.

Jason zamówił dwie solidne szkockie, i bracia wypili. Jason dostał dolewkę, i zaczął mówić.

— Czy masz jakieś pojęcie o T.A.T., Kit?

— Tat? Hmm… nie. Zaczekaj! T.A.T. – czy to nie jest jakiś test psychologiczny?

— Zgadza się. Pokazują ci kilkadziesiąt obrazków, mniej lub bardziej niejednoznacznych, zawsze innych. Każdy z nich pochodzi z innej warstwy środowiska społecznego. Potem musisz dla każdego obrazu stworzyć sytuację dramatyczną, opowieść. Z twoich historyjek, do których czerpiesz z całego swego tła jako istoty ludzkiej, psychometrycy będą w stanie zbudować obraz twojej osobowości i może dowiedzieć się, co, jeśli w ogóle coś, cię trapi.

— A co to ma wspólnego z odpowiedzią na wyzwania środowiskowe?

— No cóż — odparł Jason, popijając trzecią szkocką, — Superchłopcy rozwinęli T.A.T. do granic możliwości. T.A.T. – to oznacza Test Apercepcji Tematycznej. Ale w W.O.Ś. – Wyzwanie i Odpowiedź Środowiskowa, nie oglądasz obrazków i nie tworzysz wokół nich opowieści. Zamiast tego zostajesz wtłoczony w konkretny obraz, sytuację i musisz wypracować rozwiązanie – lub ponieść wszelkie konsekwencje, jakie niesie dla ciebie dane wyzwanie środowiskowe.

— Wydaje mi się, że zrozumiałem. Ale to wszystko jest udawane, co?

— Na tym właśnie polega problem — wyjaśnił mu Jason. — Nie, nie jest. Jest i jednocześnie nie jest. Nie wiem.

— Wyraziłeś to absolutnie jasno — uśmiechnął się Temple. — Rudowłosy chłopiec czesał swe brązowe włosy, żałując, że nie były blond.

Jason wzruszył ramionami.

— Bardzo mi przykro. Z powodów, które już znasz, W.O.Ś. nie jest zbyt jasne ani dla mnie – ani dla nikogo innego. W rzeczywistości nie znajdujesz się w takiej sytuacji w sensie fizycznym, ale może ona wpływać na ciebie fizycznie. Czujesz, że tam jesteś, naprawdę żyjesz wszystkim, co się z tobą dzieje, jeśli odniesiesz obrażenia, te obrażenia pozostają… i umierasz, jeśli zginiesz. To ma permanentne skutki, chociaż możesz w tym czasie spać. Czy to jest prawdą, czy nie, to kwestia dla filozofów. Z twojego punktu widzenia, z punktu widzenia, kogoś kto przez to przechodzi, to jest rzeczywiste.

— A więc, stanę się częścią tej hmm… gry, za około godzinę.

— Zgadza się. Ty i ten, kogokolwiek Rosjanie wyznaczą jako twojego rywala. Nikt cię nie będzie winił, jeśli chcesz się wycofać, Kit. Z tego, co mi mówiłeś, nie zostałeś nawet odpowiednio przeszkolony na Marsie.

— Jeśli do tego W.O.Ś. czerpie się z całego swojego życia, to nie potrzeba do tego żadnego szkolenia. Zamknij się i przestań się zamartwiać. Z niczego się nie wycofuję.

— Tak też sądziłem, że nie będziesz chciał, jeśli nadal jesteś podobny do tego człowieka, którym byłeś kiedyś. Kit… powodzenia.

Fakt, że pracujący wokół niego technicy byli Ziemianami, pozwolił Temple'owi trochę się odprężyć. Prawdopodobnie zostało to w ten sposób zaplanowane, ponieważ wchodząc do ogromnego białego sześcianu budynku i wjeżdżając na jego dwunasty poziom po ruchomej rampie, Temple zauważył wiele postaci, z których nie wszystkie były ludźmi. Gdyby został przypięty do stołu przez jakichś nieznanych kosmitów, gdyby w pomieszczeniu panował silny zapach obcych ciał – lub nie-ciał, gdyby palców – lub wyrostków – które dotykały jego skroni i przymocowały do każdej z nich elektrody, nie odczuwał jako ludzkich palców, gdyby rozmawiający z nim ludzie mówili głosami zbyt twardymi lub zbyt ochrypłymi jak na ludzkie struny głosowe – gdyby miała miejsce którakolwiek z powyższych sytuacji, resztki opanowania jakie jeszcze zachował, zniknęłyby bez śladu.

— Jestem doktor Olson — oznajmiła jedna z postaci w białej szacie. — Jeśli w czasie pobytu tutaj odniesie pan jakiekolwiek obrażenia, będę mógł udzielić panu pierwszej pomocy.

— To samo dotyczy limitowanej psychoterapii — dodał niższy, cięższy mężczyzna. Chociaż całe mnóstwo rzeczy ma miejsce, kiedy nawet nie wiemy co pana trapi, i nie mielibyśmy czasu, aby nad tym popracować, nawet gdybyśmy wiedzieli.

— Krótko mówiąc — podsumował trzeci człowiek, który nie zawracał sobie głowy przedstawianiem się, — może pan się traktować jako kierowcę

w jednej z tych karłowatych wyścigówek rakietowych. Czy nadal mają je na Ziemi? Dobrze. Jest pan kierowcą, a my tutaj, w tym pomieszczeniu, jesteśmy mechanikami czekającymi w pańskim boksie. Zazwyczaj jeśli coś pójdzie nie tak, może pan czasowo wycofać się z wyścigu i zlecić naprawy. Ale w tym konkretnym wyścigu nie ma wycofywania się, wszystkie naprawy mają charakter wyłącznie pierwszej pomocy, podczas gdy pan kontynuuje to, cokolwiek pan robił. Jeśli złamie pan palec i zauważy pan, że cudownie pojawia się na nim szyna, proszę nie mówić, że nie został pan uprzedzony.

— Powodzenia, młody człowieku — powiedział psychoterapeuta.

— Zaczynamy — oznajmił lekarz, znajdując dużą żyłę na wewnętrznej stronie przedramienia Temple'a i wbijając w nią igłę.

Zmysły Temple'a natychmiast zawirowały, ale w kiedy jego wzrok robił się coraz bardziej zamglony, wydało mu się, że zobaczył duże, skomplikowane urządzenie zsuwające się z sufitu i zalewające jego głowę rozgrzewającym promieniowaniem. Zamrugał, zmrużył oczy, ale nie widział nic oprócz wirującej, chmurnej przezroczystości.

Mniej więcej dwie sekundy później Zofia Androwna Pietrowicz patrzyła, jak towarzyszka w białej szacie zawiązała gumowy pasek wokół jej ramienia, poczekała, aż żyła napuchnie krwią, a następnie wbiła w nią igłę przez grubą zewnętrzną warstwę. Czy to nad głową, to była jakaś dysza? Nie, raczej soczewka, bo wypływało z niej bursztynowe ciepło... które wkrótce zniknęło, wraz ze wszystkim innym, w gęstej, kłębiącej się mgle...

Temple nagle zdał sobie sprawę, że biegnie, pędząc na łeb na szyję i na oślep w najbardziej zaciekłej burzy, jaką kiedykolwiek widział. Podmuchy wiatru uderzały w niego z gwałtowną wściekłością. Ulewny deszcz lał się na niego całymi strumieniami. Liście, jeżyny, gałęzie smagały go prosto w twarz; błoto wciągało mu stopy. W zielonym mroku przewalały się wielkie zwierzęce kształty, tak samo przerażone burzą jak Temple.

Jego głowa obracała się błyskawicznie to w tę, to inną stronę, oczy dostrzegały sękate pnie drzew, gęstą zieleń, liany, pnącza i winorośle tropikalnego lasu deszczowego – ale bardzo niewyraźnie. Zielony mrok wirował z każdym podmuchem wiatru jak gęsty dym, a deszcz prawie całkowicie przesłaniał pole widzenia.

Temple biegł, dopóki nie zaczęły mu płonąć płuca i pomyślał, że musi wydychać z siebie ogień. Jego ciężkie jak z ołowiu nogi walczyły z błotem, z każdym krokiem poruszając się z coraz większym trudem. Biegał szaleńczo i bez żadnego określonego kierunku, przekonany tylko, że musi znaleźć schronienie lub zginie. Dwukrotnie uderzył ciałem w drzewa, dwukrotnie upadając na kolana, po czym ponownie się podnosił, z bólem wciągając powietrze do płuc i dając nogę w nowym kierunku.

Biegł, dopóki nie wysiadły mu nogi. Upadł, najpierw na kolana, potem na biodra, aż w końcu plasnął twarzą w błoto. Coś szturchnęło go w plecy,

gdy upadał i sięgając niemrawo za siebie, Temple po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że na mocnych skórzanych rzemieniach, z ramion zwisały mu łuk i kołczan pełen strzał. Nie miał na sobie nic poza przepaską na biodrach, z jakichś nieznanych mu skór zwierzęcych, i zastanawiał się leniwie, czy zabił te zwierzęta bronią, którą nosił. Jednak kiedy próbował sobie to przypomnieć, stwierdził, że nie może. Nie pamiętał nic poza szaloną ucieczką przez las deszczowy, jakby całe życie tylko biegł, daremnie usiłując zostawić za sobą deszcz.

Teraz, kiedy tak leżał, z błotem oblepiającym mu nogi, klatkę piersiową, pachy, nie mógł nawet przypomnieć sobie swojego imienia. Czy w ogóle jakieś miał? Czy miał jakieś życie przed lasem deszczowym? Więc dlaczego o nim zapomniał?

Zmysł nie do końca rozwinięty w człowieku i nazywany intuicją przez tych, którzy go nie rozumieją, sprawił, że oparł głowę na rękach i mrużąc oczy usiłował przebić wzrokiem ulewę. Coś tam było w liściach ... ktoś ...

Kobieta.

Oddech Temple'a gwałtownie uwiązł mu w gardle. Kobieta stała kilka kroków dalej, chłodno obserwując go z rękoma na biodrach. Stała wysoka i wyprostowana pomimo burzy, i od czystych kostek przez długie, gibkie nogi, przez szerokie, odziane w przepaskę biodra, giętką talię i płową skórę na nagich piersiach oraz ramionach, do dumnej, wyniosłej twarzy i długich ciemnych włosów rozpuszczonych w burzy i lśniących od deszczu, była absolutnie wspaniała. Jej długie, brązowe ciało lśniło wilgocią i Temple zdał sobie sprawę, że była równie wysoka jak on, piękna bogini dzikiej dżungli. Była częścią burzy, a on ją zaakceptował – ale, co dziwne, z takim samym strachem, jak ten wywołany przez burzę. Mogła dać kochankowi miłość, jaką mógłby rozkoszować się cały świat (jaki świat?, pomyślał zmieszany Temple). Ale byłaby straszliwym wrogiem.

A była wrogiem ...

— Chcę mieć twój łuk i strzały — oznajmiła mu.

Temple chciał zasugerować, że mogą dzielić broń, ale jakimś cudem zdawał sobie sprawę, że w tym świecie, który był jak sen i mógł opowiedzieć mu rzeczy jak ze snu, a jednak był żywo realistyczny, ta kobieta nie będzie niczego z nikim dzielić.

— One są moje — odparł Temple, wstając na kolana. Pamiętał zwierzęce kształty widoczne w burzy i wiedział, że gdy burza opadnie zarówno on jak i zwierzęta będą ścigać zdobycz, i że będzie potrzebował łuku oraz strzał.

Kobieta podeszła do niego pięknym płynnym ruchem i przez jedno uderzenie serca Temple obserwował, jak się zbliża.

— Zabiorę je — oświadczyła.

Temple nie był pewien, czy dałaby mu radę, czy nie, ale chociaż była kobietą, dziwnie jej się bał. Znowu było tak, jakby coś w tym prawdziwym świecie, świecie ze snów, mogło mu powiedzieć więcej, niż powinien wiedzieć.

Podejmując decyzję, Temple zerwał się na równe nogi, odwrócił się i uciekł. Znowu zanurzył się w szaleńczej burzy, oślepiany sporadycznymi

błyskami zielonych błyskawic, ogłuszany przez grzmoty, które miały po nich miejsce. I był ścigany.

Temple biegł przez minuty, godziny, więcej niż godziny – przez wieczność. Rezerwuar sił, o którym nigdy wcześniej nie wiedział, dostarczał energii do każdego kolejnego bolesnego kroku, a bieg przez burzę wydawał się mu najbardziej naturalną rzeczą w świecie. Ale nadszedł czas, kiedy siły go zawiodły, nie powoli, lecz z szokującą nagłością. Temple upadł, czołgał się przez chwilę, znieruchomiał.

Zajęło mu kilka minut, zanim zdał sobie sprawę, że burza już go nie biczuje deszczem, kolejne minuty, żeby się zorientować, iż udało mu się wczołgać do jaskini. Nie miał czasu, by pogratulować sobie szczęścia, ponieważ coś się poruszyło na zewnątrz.

— Wchodzę — zawołała do niego kobieta z zielonego mroku.

Temple nałożył strzałę na łuk, odciągnął cięciwę i stanął twarzą do wejścia do jaskini, kucając na piętach.

— W takim razie, twój pierwszy krok będzie ostatnim. Będę strzelał, żeby zabić. — I dokładnie to miał na myśli.

Cisza na zewnątrz. Ogłuszająca.

Czuł, jak pot ścieka mu pod pachami; dłonie miał lepkie, ręce mu drżały.

— Nie zobaczysz nawet mojego śladu — obiecała kobieta. Po tych słowach Temple wiedział, że już jej nie ma. Spał jak zabity.

Kiedy Temple się obudził, przez listowie na zewnątrz jego jaskini przebijało się jasne światło słoneczne. Chociaż ziemia była cała pokryta błotem, burza ustała. Stojąc przy wejściu do jaskini, Temple rozsunął dłońmi liście i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Zadowolony wziął swój łuk i strzały, i wyszedł z jaskini, poganiany szponami głodu, które boleśnie wbijały mu się w żołądek.

Jaskinia była wynikiem erozji w zboczu krótkiego, stromego występu skalnego, kilkanaście kroków od tryskającego, wezbranego strumienia. Temple podążał za strumieniem, wijącym się przez dżunglę, odchodząc na odległość pół mili od swojej jaskini, aż potok rozszerzył się, tworząc wodopój. Temple czekał tam cały ranek, przycupnięty w trawie, dopóki jedno po drugim, leśne zwierzęta nie przyszły się napić. Wybrał małe stworzenie, podobne do zająca, nałożył strzałę na łuk, wypuścił ją do lotu.

Zwierzę podskoczyło, upadło, zaczęło wślizgiwać się w poszycie, ciągnąc strzałę w zadzie. Temple rzucił się za nim, złapał je w ręce i dobił je, uderzając nim w pień drzewa. Wracając do swojej jaskini, znalazł dwa odłamki krzemienia, postrzępioną leżącą gałąź i starannie wysuszył jej odłamki w silnym słońcu. Wkrótce rozpalił ogień i zjadł.

W następnych dniach Temple wracał do wodopoju i za każdym razem zdobywał nowy łup. Wszystko szło tak dobrze, że zaczął coraz bardziej oddalać się od swojej jaskini, eksplorując okolicę. Jednak pewnego razu wrócił wcześniej do wodopoju i znalazł ślady stóp w miękkim błocie na brzegu strumienia.

Kobieta.

Templemu nawet nie przyszło do głowy, że mogła go obserwować, gdy polował, ale teraz kiedy dowód spoczywał wyraźnie przed jego oczami, powróciło dawne uczucie niepewności. Zaś następnego dnia, gdy podkradł się ukradkiem do wodopoju, zobaczył przycupniętą w zaroślach i czekającą na niego kobietę, uciekł więc z powrotem do swojej jaskini.

Nagle uderzyła go pewna myśl. Jeśli ona go śledziła, to dlaczego miałby uciekać, bojąc się własnego cienia? Żadne z nich nie będzie bezpieczne, dopóki któreś z nich nie zniknie – a zniknięcie oznaczało w tym wypadku śmierć. Temple sam powinien spróbować ją podejść.

Temple prawie nie spał przez kilka nocy. Był w stanie odnaleźć wodopój z zawiązanymi oczami, po prostu podążając za biegiem strumienia. Każdej nocy wybierał się do niego i pracował, kopiąc ostrym kamieniem, aż wydrążył dół o głębokości dziesięciu i szerokości sześciu stóp. Pokrył go gałęziami, patykami, liśćmi i na koniec przysypał ziemią.

Kiedy wrócił tam rano, był zadowolony ze swojej pracy. Jeśli kobieta nie przebada dokładnie tego miejsca, z pewnością nie zauważy jamy. Przez cały ten dzień Temple czekał plecami do wodopoju, patrząc w stronę zamaskowanego dołu, pułapki którą zastawił, ale kobieta się nie pojawiła. Kiedy nie przyszła również drugiego dnia, zaczął myśleć, że jego plan się nie powiedzie.

Trzeciego dnia Temple pojawił się tam wraz ze słońcem, usiadł jak poprzednio na wysokiej trawie między jamą a wodopojem, i czekał. Kilka kroków za jego ukrytą pułapką, stały wysokie dżunglowe drzewa, z winoroślami i pnączami zwisającymi z ich gałęzi. Z tyłu, o długość wzrostu mężczyzny, znajdował się wodopój, w którego najgłębszym miejscu, woda sięgała nie więcej niż do pasa.

Temple czekał tam do czasu, aż słońce wzbiło się wysoko na niebie, po czym jego uwagę przyciągnęła mała antylopa zmierzająca do wodopoju, aby się napić. „Jutro będzie dobre śniadanie”, pomyślał z uśmiechem.

Coś, znowu ten dziwny szósty zmysł, sprawiło, że Temple odwrócił się do tyłu i zerwał na nogi. Miał ledwie czas na krótkie spojrzenie, ochrypły krzyk.

Kobieta przechytrzyła go. Zastawiła swoją własną pułapkę. Stała wysoko na gałęzi jednego z drzew za zamaskowanym dołem i przez chwilę Temple wyraźnie widział jej piękną figurę, nagą, poza przepaską na biodrach.

Następnie miękkie krzywizny jej ciała zmieniły się w stalową sprężynę.

Kobieta wygięła swe ciało w łuk, na wysoko położonej gałęzi, trzymając się mocnego pnącza i odchylając się do tyłu. Temple uniósł łuk, aby wypuścić strzałę. Ale do tego czasu, kobieta była już w ruchu.

Długa, zwinna i pełna wdzięku, zjechała na lianie, stopniowo nabierając coraz większego rozpędu. Jej stopy omal nie dotknęły krawędzi dołu Temple’a, w najniższym punkcie trajektorii lotu, ale trzymała się mocno pnącza, które dalej zaczęło sunąć jak wahadło w stronę Temple’a.

W ostatniej chwili przygarbił się i próbował unieść ramiona dla ochrony. Kobieta była jednak szybsza. Podwinęła nogi pod siebie, wciąż ściskając pnącze swymi smukłymi, silnymi dłońmi. Łuk zataczany przez

lianę poniósł ją ku niemu; jej kolana znalazły się na poziomie jego głowy i gwałtownie je podciągnęła, uderzając Temple'a brutalnie obiema nogami w podstawę szczęki. Temple wrzasnął, gdy jego głowa została odrzucona z potworną siłą.

Łuk wypadł mu z dłoni, a on sam poleciał do wodopoju, padając na plecy.

Zofia pozwoliła by liana wyniosła ją nad wodę, po czym z niej zeskoczyła. Po pas w wodzie, dobrnęła do miejsca, w którym mężczyzna leżał nieprzytomny na plecach, w połowie płytszej części strumienia. Dotarła do niego i szturchnęła go stopą w pierś. Kiedy się nie poruszył, z wdziękiem oparła się całym ciężarem na długiej nodze, wciskając jego głowę pod wodę. Z wyniosłym uśmiechem obserwowała rosnącą strugę bąbelków...

W małym pomieszczeniu, w którym na stole leżało śpiące ciało Temple'a, ubrany w biały fartuch doktor spojrzał pytająco na psychoterapeutę.

— Co się dzieje?

— Nie potrafię tego powiedzieć, panie doktorze. Ale…

Nagle nieruchome ciało Temple'a zakołysało się konwulsyjnie, jego szyja wyciągnęła się, głowa wystrzeliła do góry i odskoczyła do tyłu. Z ust sączyła mu się krew.

Lekarz wyciągnął fachowe dłonie i zręcznie zbadał szczękę Temple’a.

— Złamana? — dopytywał się psychoterapeuta zmartwionym głosem.

— Nie, zwichnięta. Wygląda, jakby walnął go młot kowalski, gdziekolwiek by teraz nie był i cokolwiek by się nie działo. To W.O.Ś., to naprawdę cholerna rzecz.

Nieruchome ciało Temple zadrżało konwulsyjnie. Zaczął dyszeć i kaszleć, najwyraźniej walcząc o oddech. Brzydka, niebieska opuchlizna pokryła już podstawę szczęki.

— Co się dzieje? — zapytał psychoterapeuta.

— Nie jestem pewien — odparł lekarz, kręcąc głową. — Zdaje się, że ma trudności z oddychaniem... tak, jakby się topił.

— Niedobrze. Możemy coś zrobić?

— Nie. Czekamy, aż ta konkretna sekwencja się zakończy. — Lekarz ponownie zbadał Temple’a. — Jeśli nie skończy się szybko, ten człowiek umrze z powodu uduszenia.

— Niech pan to przerwie — błagał psychoterapeuta. — Jeśli on teraz umrze, Ziemię będzie reprezentować Rosja. Niech pan to przerwie!

Ktoś wszedł do pokoju.

— Ja mam władzę do tego — powiedział, wybierając strzykawkę ze statywu lekarza i przebijając nią skórę na przedramieniu Temple’a. — Ten pierwszy test zaszedł wystarczająco daleko. Reprezentantka Rosjan jest bez wątpienia zwycięzcą, ale Temple musi żyć, jeśli ma konkurować w kolejnych.

Drżące konwulsje, które wstrząsały ciałem Temple'a, ustąpiły. Przestał się dusić, zaczął regularnie oddychać. Lekarz z ponurą determinacją zabrał się do pracy nad zwichniętą szczęką Temple'a, podczas gdy człowiek, który przerwał walkę, wykonał sztuczne oddychanie.

Tym człowiekiem był Alaric Arkalion.

Towarzysz doktor był uradowany.

— Trening na Jowiszu dał nam zwycięstwo, towarzyszu.

— Skąd możecie to wiedzieć?

— Nasz uczestnik rywalizacji wyszedł z niej bez szwanku, konkurencja została zakończona. Czekajcie... ona przychodzi do siebie.

Zofia przeciągnęła się, potarła posiniaczone kolana i usiadła.

— Co się stało, towarzyszko? — dopytywał się lekarz.

— Bolą mnie kolana — odparła Zofia, pocierając je jeszcze raz. — Myślę, że… zabiłam go. Dziwne, nigdy nie myślałam, że to będzie aż tak realne.

— W pewnym sensie to było realne. Jeśli zabiliście Amerykanina, pozostanie martwy.

— Nic się nie liczyło poza tym światem, w którym byliśmy, fantastyczne miejsce. Teraz pamiętam wszystko, te wszystkie rzeczy, których wtedy nie mogłam sobie przypomnieć.

— Ale ten wasz… hmm… sen… co się w nim stało?

Zofia ze smutkiem po raz trzeci potarła potłuczone kolana.

— Uderzyłam go nimi i pozbawiłam przytomności. Potem wepchnęłam mu głowę pod wodę i zaczęłam go topić. Ale… zanim się upewniłam, że skończyłam… wróciłam tutaj... Zabawne, że chciałam go zabić bez skrupułów, bez powodu. Zofia zmarszczyła brwi i usiadła. — Nie sądzę, żebym jeszcze kiedyś chciała to zrobić.

Lekarz popatrzył na nią chłodnym wzrokiem.

— To jest wasze zadanie na Stalintreku. Będziecie to robić.

— Zabiłam go bez żadnego namysłu.

— Wystarczy. Odpoczniecie i przygotujecie się do drugiej konkurencji.

— Ale, jeśli on nie żyje…

— Najwyraźniej jest inaczej, albo zostalibyśmy o tym poinformowani, towarzyszko Pietrowicz.

— To prawda — zgodził się drugi z mężczyzn, który do tej pory milczał. — Przygotujcie się na kolejny test, towarzysze.

Zofia miała ochotę dalej się kłócić. Pomimo wszystko to było niesprawiedliwe. Gdyby w światach snów, które nie były światami snów, miał motywować ją tylko jeden czynnik, a mianowicie to, aby zniszczyć Amerykanina, i gdyby stawiała mu czoła z siłą uzyskaną podczas swojego treningu na Jowiszu, z trudem można by było mówić o prawdziwej rywalizacji. Zaś teraz, kiedy mogła myśleć o Amerykaninie bez przepełniającej ją nienawiści, którą podsycał w niej świat snów, zdała sobie sprawę, że był to nieźle wyglądający młody człowiek, prawdę mówiąc całkiem przystojny. „Mogłabym go polubić”, pomyślała Zofia,

mając gorącą nadzieję, że go nie utopiła. Mimo to, skoro zgłosiła się na ochotnika do Stalintreku i to była praca, którą jej przydzielono...

— Nie potrzebuję odpoczynku — powiedziała lekarzowi, za grosz sobie nie ufając, gdyż zdawała sobie sprawę z tego, że w każdej chwili może zmienić zdanie. — Będę gotowa, kiedy tylko wy będziecie.

Rozdział 9

Nazywał się Temple. Był rok 1960.

Christopher Temple miał problemy. Miał też swoje własne życie, które nie miało nic wspólnego z życiem prawdziwego Christophera Temple'a, który wyruszył trzydzieści kilka lat później w Podróż Donikąd. A raczej to był Christopher Temple, przeżywający swoje drugie W.O.Ś. – który już raz przegrał, i który gdyby teraz przegrał ponownie, poniósł by ze sobą marzenia i nadzieje zachodniego świata w płomień porażki. Ale jako fikcyjny (choć w pewnym sensie prawdziwy) Christopher Temple z 1960 roku, nic o tym nie wiedział.

Świat zresztą, mógł pójść do diabła. Świat i tak szedł do diabła. Temple zadrżał, nalewając czwartą kanadyjską whisky i wypijając ją pozbawionym smaku, palącym haustem. Temple był inżynierem termojądrowym, z subsydiowanymi przez rząd dyplomami na trzech uniwersytetach, w tym na doskonałym, nowym, w Desert Rock. Temple był inżynierem termojądrowym ze dostępem rządowym do ściśle tajnych spraw. Temple był inżynierem termojądrowym i miał w głowie więcej tajemnic wojskowych niż było ich w magazynie spalonych akt Pentagonu.

Temple był także inżynierem termojądrowym, którego żona szpiegowała dla Rosjan.

Dowiedział się o tym zupełnie przypadkowo, wcale nie mając zamiaru podsłuchiwać. Wrócił do domu wczesnym popołudniem, ponieważ inżynier produkcji zarządził wstrzymanie prac, dopóki nie zostaną przeprowadzone dalsze badania nad pewnymi niestabilnymi izotopami. Wyraźnie słyszał ich głosy, z miejsca w którym stał w oranżerii, i przez śmieszną chwilę rozdarty był między chęcią wślizgnięcia się na górę i zignorowania ich w ogóle, oraz wtargnięcia do salonu jak płonący zazdrością licealista. Dojrzałą rzeczą, oczywiście, byłoby zrobienie czegoś zupełnie innego, i Temple miał już właśnie wejść uprzejmie do salonu, przywitać się i zaczekać na wyjaśnienia, kiedy powstrzymały go urywki rozmowy.

— Głupi jesteś, Charles! Kit niczego nie podejrzewa.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Intuicja.

— Opierając się na intuicji, postawisz na szali los Czerwonego Imperium?

— Imperium, Charles? — Temple mógł sobie wyraźnie wyobrazić podniesioną brew Lucy. Słuchał teraz, niemal z zapartym tchem. Przez jedną szaloną chwilę pomyślał, że wycofa się na górę i zapomni o wszystkim. W ten sposób życie stałoby się znacznie prostsze. Byłaby to jednak bezsensowna ucieczka w nierzeczywistość, a tego nie wolno mu było zrobić.

— Tak, Imperium. Och, nie takie zajmujące kolejne ziemie, ani dręczące niewolników, czy też robiące inne tego rodzaju rzeczy, zwykle próbowane przez imperialistów, lecz imperium bardziej subtelne, a przez to trwalsze. Niech świat nazwie nas Wyzwolicielami, a będziemy mieli Imperium.

Lucy parsknęła śmiechem, którego dźwięk Temple uwielbiał.

— Możesz zachować swoją ideologię dla siebie, Charles. Baw się nią, kąp się w niej, upij się nią lub utop się w niej. Ja chcę swoich pieniędzy.

— Jesteś szczera.

Temple wyobraził sobie jak Lucy wzrusza ramionami.

— Jestem płatnym, profesjonalnym szpiegiem. Do tej pory otrzymałeś już większość potrzebnych informacji. Resztę będę miała dziś wieczorem.

— Najpierw zobaczymy się w piekle! — zawołał z wściekłością Temple, wkraczając do pokoju i prawie się uśmiechając, pomimo sytuacji, w której jak zdawał sobie sprawę, jego słowa musiały zabrzmieć straszliwie melodramatycznie.

— Kit! Kit… — Lucy uniosła dłoń do ust, po czym cofnęła się, wzdrygając się, jakby została uderzona.

— Taaa, Kit. Polityczny rogacz, bo chyba Charles korzysta też z innych oferowanych przez ciebie usług?

— Kit, ty nie…

Człowiek imieniem Charles poprosił gestem o ciszę. Elegancki, schludny, przystojny, z wyjątkiem gburowatych, nadąsanych ust, był o głowę niższy od Temple'a czy Lucy.

— Nie marnuj słów, Zofio. Temple nas podsłuchiwał.

„Zofia?" — pomyślał Temple.

— Zofia? — powiedział.

Charles chłodno skinął głową.

— Prawdziwa pani Temple była obserwowana, uważnie przestudiowana, wszystkie jej zwyczaje i zachcianki, zostały przeanalizowane przez ekspertów. Chirurg plastyczny, psycholog, socjolog, językoznawca – cała gama ekspertów przekuła obecną tu Zofię, w nową panią Temple. Muszę im pogratulować, bo niczego pan nie podejrzewał.

— Lucy? — spytał tępo Temple. Jego umysł stał zawieszony w otchłani obiektywnej akceptacji i subiektywnej niewiary.

— Pani Temple została wyeliminowana. Godne pożałowania, jednak nie mamy do czynienia z bezsensowną stratą, lecz konieczną.

Temple nie zdawał sobie sprawy, że opuścił otchłań, dopóki nie poczuł gwałtownego kontaktu kostek swojej pięści ze szczęką Charlesa. Niski człowieczek przewrócił się i upadł u jego stóp.

— Wstawaj! — zawołał Temple, po czym zmienił zdanie i sprężył się, by rzucić się na leżącą postać.

— Stój — oznajmił spokojnie Charles, jedną ręką ocierając krew z ust, drugą wyciągając z kieszeni pistolet automatyczny. — Lepiej się nie ruszaj, Temple. Umrzesz, jeśli mnie nie posłuchasz.

Temple zastygł bez ruchu i patrzył, jak Charles odczołguje się po gęstym zielonym dywanie, aż w końcu znalazł się w bezpiecznej odległości

po drugiej stronie pokoju, gdzie wstał oszołomiony. Zwrócił się do sobowtóra martwej Lucy.

— Co o tym myślisz Zofio?

— Nie wiem. Moglibyśmy stąd uciec, ale prawdopodobnie musimy zrezygnować z pozyskania ostatecznych informacji.

— Nie o to pytałem. To oczywiste, że nigdy nie poznamy ostatecznych faktów. Chodziło mi o to, co myślisz o Temple'u?

Zofia powiedziała, że nie wie.

— Jeśli zostawimy go samego, pójdzie na policję. Porwany byłby gorzej niż bezużyteczny. Właściwie, to nawet szkodliwy, bo władze by coś podejrzewały. Jeszcze gorzej, gdybyśmy go zabili. Problem polega na tym, że nie chcemy, by władze myślały iż Temple przekazywał informacje wszystkim.

— Przekazywał, to niewłaściwe słowo — stwierdziła Zofia. — Byłam dobrą żoną, ale także dobrze gromadziłam informacje. Sto tysięcy dolarów, Charles.

— Ty suko — wyrzucił z siebie Temple.

— Później — powiedział Charles do kobiety. — Rozwiązanie jest następujące, Zofio: trzeba zabić Temple'a, ale to musi wyglądać na samobójstwo.

Zofia zmarszczyła brwi z niemalże troską.

— Czy musimy… go zabijać?

— O co chodzi, moja droga? Zbyt długo odgrywałaś rolę żony? Jeśli Temple stanął na drodze Czerwonego Imperium, Temple musi umrzeć.

Temple ruszył naprzód.

— Eche — rzucił Charles — nie rób tego.

Machnął automatem i Temple uspokoił się.

— Czy to prawda? — dopytywała się Zofia. — No dobrze, posłuchaj mnie. Nie mam nic wspólnego z twoim Czerwonym Imperium. Uciekłam za żelazną kurtynę, przybyłam tu z własnej woli, żeby żyć…

— Czy naprawdę myślisz, że jesteś tu z własnej woli? Pozwoliliśmy ci wyjechać, Zofio. Zachęcaliśmy cię do tego. W ten sposób praca naszych techników była o wiele prostsza. Czy ci się to podoba, czy nie, jesteś trybikiem w machinie Czerwonego Imperium.

— Nadal nie rozumiem, dlaczego on ma umrzeć.

— Zostaw myślenie tym, którzy potrafią to robić. Masz miły uśmiech, niezłe ciało, pewien sposób na mężczyzn. To ja tutaj myślę. I myślę, że Temple powinien umrzeć.

— A ja, nie — powiedziała Zofia.

— Niepotrzebnie zwlekamy. Ten człowiek umrze. — Charles uniósł swój automat, na tyle zirytowany, że zapomniał o swoim planie samobójstwa.

Obu mężczyzn dzieliła odległość ośmiu lub dziewięciu stóp. Równie dobrze mogłaby być to nieskończoność – i wkrótce będzie, dla Temple'a. Widział małą dłoń Charlesa zaciskającą się wokół pistoletu, widział, jak jego palec na spuście robi się biały. Broń wycelowana była w miejsce tuż nad jego pępkiem i przez chwilę zaczął się zastanawiać, jakby to było, gdyby pocisk rozerwał mu żołądek, wypalając ścieżkę za nim do

kręgosłupa. Postanowił przynajmniej wykonać jakiś gest, skoro nie mógł zrobić nic więcej. Już miał rzucić się na Charlesa.

Zofia go uprzedziła – a ponieważ Lucy nie żyła, a Zofia wyglądała dokładnie tak jak ona, zaś Temple nie potrafił zaakceptować tego faktu, tak więc wydawało mu się to najbardziej naturalną rzeczą w świecie.

Szybka jak kot Zofia wskoczyła Charlesowi na plecy i upadli razem w wirującej, kotłującej plątaninie rąk i nóg.

Temple nie czekał na zaproszenie. Rzucił się na nich, a potem wszystko zaczęło się dziać... szybko.

Zofia przetoczyła się, podniosła się na czworaka, dysząc. Charles usiadł, przeklinając i obmacując mocno podrapane oblicze. Temple rzucił się na niego, znów przewrócił go na plecy i zaczął okładać go pięściami po twarzy.

Charles nie miał pistoletu. Ani Temple.

Coś gwałtownie eksplodowało w tyle głowy Temple'a, zrzucając go z Charlesa i przewracając. Zamglonym wzrokiem zobaczył, że Zofia cofa się przez pokój, z pistoletem w dłoni, idąc tyłem. Zmysły Temple zakołysały się. Próbował się podnieść, ale udało mu się tylko kawałek odpełznąć, zanim się poddał. Falował między świadomością a nieświadomością, słysząc jak we śnie urywki rozmowy.

— Zastrzel go ... Zastrzel go!

— Zamknij się… to ja mam broń… idź do diabła.

— … zabić… jedyny sposób.

— Mam inny pomysł... wynosimy się stąd ... porozmawiamy później.

— …uczucia…

— Powiedziałam… wynosimy się stąd…

Głosy zmieniły się w bezsensowne strumienie, spływające kaskadami w czarną otchłań.

I teraz Temple siedział ze szklanką w dłoni, w jednej trzeciej wypełnioną kanadyjską whisky, od czasu do czasu sięgając ostrożnie ręką do góry, aby obmacać posiniaczony guz na głowie i pokryte krwią włosy, które go przykrywały. Bycie rogaczem to jedno, powiedział sobie, ale bycie naiwnym politycznym pionkiem w stylu rogacza, który wcale nie był rogaczem, to coś znacznie gorszego. Mieszkać z kobietą, jeść z nią posiłki, które dla niego gotowała, rozmawiać z nią, myśleć że ona go rozumie, jest mu życzliwa, kochać się z nią z pasją, podczas gdy ona na to wszystko odpowiadała grą aktorską, grając za sto tysięcy dolarów pensji, nagle stało się dla Temple’a najbardziej wyniszczającą rzeczą w świecie. Nie przyszło mu do głowy, żeby zapytać, jak długo to trwało. Może lepiej, że tego nie wiedział. A gdzieś przez labirynt tych wszystkich myśli przebijała się najbardziej ponura, czarna rzeczywistość: Lucy nie żyła. Lucy – martwa.

Ale w którym miejscu kończyła się Lucy, a którym zaczynała Zofia? Czy Lucy była już martwa tej nocy, gdy wrócili bardziej niż trochę pijani z imprezy Chambersa, tej nocy gdy tańczyli w salonie, aż świt przyćmił

gwiazdy, a on zaniósł Lucy na górę. Lucy, czy Zofię? A w dniu, w którym pojechali nad jeziorko, ich sekretne jeziorko, niewiele większe i odrobinę szersze niż zalew przy tamie na strumieniu, gdzie marzyli o rzeczach, które mogliby robić po zakończeniu zimnej wojny? To była Lucy – czy Zofia? Czy w ogóle zauważył różnicę w jaki Lucy-Zofia gotowały, w sposobie w jaki mówiły, w sposobie w jaki pozwalały mu się ze sobą kochać? Myśli te doprowadziły go do bólu głowy wielkości człowieka, i nie znalazł na nie odpowiedzi. W ten sposób przynajmniej utrata żony nie była aż tak traumatyczna, jak mogłaby być. Nie wiedział, kiedy umarła ani jak, a właściwie Lucy-Zofia wydawała się tak podobna do prawdziwej istoty, że nie wiedział, w którym miejscu miałby przestać ją kochać i zacząć nienawidzić.

No i przecież ta dziewczyna, Rosjanka, uratowała mu życie. Dlaczego? Na to też nie potrafił odpowiedzieć, chyba że było tak, jak to zasugerował Charles: Zofia tak uważnie przestudiowała Lucy, tak dobrze poznała jej upodobania i antypatie, jej potrzeby i pragnienia, do tego stopnia zapamiętała i wyćwiczyła w sobie wszystkie osobliwości jej charakteru, że Zofia stała się w istocie Lucy.

„Co", pomyślał Temple, „sprawiało że jeszcze trudniej będzie odszukać Zofię i ją zabić."

To była odpowiedź, jedyna odpowiedź. Temple czuł tępy ból w miejscu, gdzie powinno być serce, ucisk, łomotanie, nieprzyjemny, nieznany brak czucia. Gdyby poszedł ze swoją historią do F.B.I., nie wątpił że Charles, Zofia i wszyscy inni którzy z nimi współpracowali, zostaliby złapani, ale on, Temple, musiałby przez całe życie cierpieć nie dające się ugasić emocjonalne pragnienie. Musi je ugasić, a potem będzie mógł poczuć żal, który go uleczy. Musi je ugasić krwią Zofii... osobiście.

Odnalazł ją tydzień później, nad ich jeziorkiem. Szukał jej wszędzie i prawie już zrezygnował, prawie był gotów, aby przekazać całą historię policji. Ale musiał pomyśleć, a ich jeziorko było odpowiednim miejscem do tego.

Zofia najwyraźniej wpadła na ten sam pomysł. Temple zaparkował na autostradzie, pół mili od ich jeziorka, powoli przedzierał się przez las, skąpany w złotym słońcu. Słyszał, wesoło tryskającą wodę, słyszał odgłosy jakiegoś małego zwierzęcia przedzierającego się przez las. Zobaczył Zofię.

Leżała na ich skale do opalania, w szortach i biustonoszu, kompletnie zrelaksowana, z magazynem rozłożonym koło niej na kamieniu, grzbietem do góry, a obok niego spoczywała para przeciwsłonecznych okularów. Jedno kolano miała uniesione, drugą nogę wyciągniętą, jedną ręką zasłaniała oczy przed słońcem, drugą miała u boku. Na jej widok, Temple poczuł nacisk pistoletu w kaburze pod pachą. Mógłby go wyciągnąć, zabić ją, zanimby w ogóle zdała sobie sprawę z jego obecności. Czy to by sprawiło, że poczułby się lepiej? Pięć minut temu powiedziałby, że tak. Teraz się zawahał. Zabić ją, która wydawała się być równie kompletnie Lucy, jak on był Templem? Posłać kulę, która rozerwie to ciało, które znał i

kochał, albo ciało wydające się do tamtego tak podobne, że nie potrafił dostrzec różnicy?

Zamordować – Lucy?

— Nie — powiedział głośno. — Ona nazywa się Zofia.

Dziewczyna usiadła zaskoczona.

— Kit — powiedziała.

— Lucy.

— Ty też nie możesz się zdecydować. — Uśmiechnęła się tak jak Lucy.

Otępiały usiadł koło niej na skale. Mocne słońce wycisnęło drobne kropelki potu na opalonej skórze jej twarzy. Wyjęła spod magazynu paczkę papierosów, zapaliła jednego i podała go Templemu, zapaliła drugiego i zaciągnęła się dymem.

— I co teraz zrobimy? — chciała wiedzieć.

— Ja…

— Przyszedłeś mnie zabić, prawda? Czy to jedyny sposób, w jaki możesz poczuć się lepiej, Kit?

— Ja… — zamierzał zaprzeczyć, a potem pomyśleć.

— Nie zaprzeczaj temu, proszę cię. — Sięgnęła mu pod kurtkę i wyciągnęła rękę z pistoletem o tępo zakończonej lufie. — Proszę bardzo — powiedziała, podając mu go.

Wziął broń, podniósł ją i upuścił z brzękiem na skałę.

— Posłuchaj — powiedziała. — Mogłabym ci powiedzieć, że jestem Lucy. Gdybym ci teraz powiedziała że nią jestem, i ciągle to powtarzała, uwierzyłbyś mi. Uwierzyłbyś mi, bo chciałbyś w to wierzyć.

— No cóż — stwierdził Temple.

— Nie jestem Lucy. Lucy nie żyje. Ale… ale we wszystkim poza byciem Lucy, byłam Lucy. Myślałam jej myślami, śniłam jej sny, kochałam jej miłością.

— Zabiłaś ją.

— Nie. Nie miałam z tym nic wspólnego. Została zabita, tak. Ale nie przeze mnie. Kit, gdybym cię zapytała, kiedy kończy się Lucy i kiedy… zaczynam się ja, czy byłbyś w stanie mi to powiedzieć?

Często o tym myślał.

— Nie — odparł zgodnie z prawdą. — Jesteś tak samo moją żoną jak i ona.

Impulsywnie uścisnęła mu dłoń. Potem, kiedy nie odpowiedział, cofnęła rękę.

— W takim razie… w takim razie ja jestem Lucy. Jeśli jestem Lucy pod każdym względem, to Lucy nigdy nie umarła.

— Zdradziłaś mnie. Stałaś bezczynnie, kiedy popełniono morderstwo. Jesteś winna szpiegostwa.

— Lucy cię kochała. Ja jestem Lucy ...

— … Zdradziłaś mnie…

— Za sto tysięcy dolarów. Za szansę na normalne życie, za możliwość zapomnienia o Leningradzie zimą, o wodnistej zupie ziemniaczanej, szmatach do ubrania, przechwalających się komisarzach, biedzie, chorobach. Czy myślisz, że wyobrażałam sobie, iż mogłabym zakochać się w tobie tak zupełnie? Ale skoro tak się stało, to nie sądzisz, że to trochę

zmieniło sytuację? Nie jestem już Zofią, Kit. Byłem, ale już nie jestem. Zrobili ze mnie Lucy. Lucy nie może być martwa, nie skoro ja jestem taka sama jak ona, pod każdym względem.

— Co moglibyśmy zrobić?

— Nie wiem. Ja tylko chcę być twoją żoną…

— No to powiedz mi — powiedział z goryczą. — Czy mam, jak gdyby nigdy nic, wrócić do fabryki i dalej pracować przez cały czas wiedząc, że nasze najpilniej strzeżone tajemnice znalazły się w rękach Rosjan i że odpowiedzialna jest za to moja żona? — Roześmiał się. — Mam to zrobić?

— Wasze tajemnice nigdzie nie wyciekły.

— Czy mam... *co*?

— Wasze tajemnice nigdy nigdzie nie wyciekły. Charles nie żyje. Zniszczyłem wszystko, co zabraliśmy. Nie jestem już Rosjanką. Amerykanką. Oni zrobili ze mnie Amerykankę. Zrobili ze mnie Lucy. Chcę być Lucy, twoją żoną.

Temple przez dłuższy czas nie odzywał się. Uświadomił sobie teraz, że nie może jej zabić. Ale wszystko inne, co zasugerowała…

— Powiedz mi jedną rzecz — powiedział. — Powiedz mi, jak długo jesteś Lucy? Musisz mi to powiedzieć.

— Jak długo byliśmy małżeństwem?

— Wiesz, jak długo. Przez trzy lata.

Zofia zgasiła papierosa na skale, otarła pot (łzy?) z policzka, wierzchem dłoni.

— W twoim małżeńskim łożu, nigdy nie było nikogo prócz mnie.

— Kła… kłamiesz.

— Nie. Zrobili to, co zrobili, w przeddzień twojego ślubu. Byłem twoją żoną tak długo, jak ją miałeś.

W głowie Temple'a zawirowało. To były krótkie zaloty. Znał Lucy zaledwie od dwu tygodni, w tamtych dniach 1957 roku. Ale poza tymi krótkimi czternastoma dniami, to Zofia była z nim przez cały czas.

— Zofio, ja…

— Nie ma Zofii, już nie.

Prawie nie znał Lucy, tej prawdziwej Lucy. To ta kobieta była jego żoną, zawsze nią była. Czy pierwsze czternaście dni spędzonych z Lucy, były niczym innym, jak tylko snem? Bardzo mu było że, że Lucy nie żyła… ale Lucy, o której myślał, że nie żyje, była jak najbardziej żywą Zofią.

Wziął ją w ramiona, prawie ją miażdżąc. Obejmował ją tak, całował gwałtownie, pozwalając namiętności innego rodzaju, aby zajęła miejsce morderstwa.

„To jest moja kobieta”, pomyślał i obudził się na swym białym łożu w Donikąd.

— **O**budziłem się — oznajmił Temple.

— Widzimy. Nie powinieneś.

— Nie?

— Nie. Powinien być jeszcze jeden sen.

Temple zapadł w przynoszącą odpoczynek drzemkę, ale wkrótce zdał sobie sprawę z jakiegoś ruchu wokół siebie. O dziwo, nie obchodziło go to. I tak był za bardzo zmęczony, żeby otworzyć oczy. Niech się dzieje, cokolwiek miało się dziać. Chciał spać.

Ale głos nie ustępował.

— To bardzo nieregulaminowe. Przyszedł pan tu i…

— Wyświadczyłem wam przysługę, prawda? — (Ten głos jest jakiś znajomy, pomyślał Temple.)

— No cóż, tak. Ale czego pan teraz chce?

— Wynik Temple'a wynosi w tej chwili jeden do jednego. W drugiej sekwencji, to on był zwycięzcą. Reprezentantka sowiecka miała zdobyć od niego pewne informacje i przekazać je swoim rodakom. Całkiem nieźle wyciągnęła te informacje, ale w jakiś sposób Temple sprawił, że zmieniła zdanie. Informacje nigdzie nie dotarły. W jaki sposób Temple zdołał odegrać rolę asa kontrwywiadu, nie mam pojęcia, ale odegrał ją i wygrał.

— To doskonale. Ale czego pan chce?

— Ostatnie W.O.Ś. ma krytyczne znaczenie. — (Głos należał do Arkaliona!) — Jak bardzo krytyczne, nie mogę wam przekazać. Wystarczy jednak powiedzieć, że przegrywacie bez względu na to, jak Temple w nim wypadnie. Jeśli Rosjanka pokona Temple'a, przegrywacie.

— Naturalnie.

— Proszę pozwolić mi skończyć. Jeśli Temple pokona Rosjankę, też przegrywacie. Tak czy inaczej, Ziemia jest przegrana. Nie mam czasu na wyjaśnienia, których i tak by pan nie zrozumiał. Czy chce pan współpracować?

— Hmm. Uratował pan życie Temple'a. Hmm, tak. Dobrze.

— Trzecia sekwencja snów to sen o niewłaściwości: niewłaściwa walka, z niewłaściwym przeciwnikiem, o niewłaściwym czasie, kiedy szykuje się znacznie ważniejsza rywalizacja... z nagrodą dla zwycięzcy w postaci losu Ziemi.

— Co pan proponuje?

— Zaaranżuję ostatni sen Temple'a. Ale jeśli on zniknie z tego pomieszczenia, proszę się nie niepokoić. To sen innego rodzaju. Temple nie pozna go, dopóki sen się nie rozwinie, pan go nie pozna, dopóki wszystko się nie zakończy, ale Temple będzie walczyć o Ziemię zniewoloną lub wolną.

— Nie może pan nam powiedzieć czegoś więcej?

— Nie ma czasu na wyjaśnienia. Powiem panu tylko, że wraz z resztą Galaktyki zostaliście oszukani. Podróż Donikąd, to ponura, tragiczna farsa.

— Obudź się, Kit!

Temple obudził się w, jak mu się wydawało, trzecim i ostatnim śnie. Dziwne, bo tym razem wiedział, gdzie jest i dlaczego, wiedział też że śni, a nawet wyraźnie przypominał sobie dwa poprzednie sny.

— **P**o cichu — polecił Arkalion i poprowadził Temple'a długimi, białymi korytarzami. W końcu dotarli do częściowo otwartych drzwi i tam

zatrzymali się. Zaglądając do środka Temple, zobaczył pomieszczenie podobne do tego, które właśnie niedawno opuścił, z dwiema postaciami w białych ubraniach, pochylającymi się z niepokojem nad stołem. Na stole leżała Zofia, którą Temple kochał parę chwil wcześniej, w swoim drugim śnie. Chwil? Lat. (Nigdy, poza snem).

— Jest naprawdę śliczna — szepnął Arkalion.

— Wiem. — Tak samo jak on, Zofia ubrana była w luźny sweter i spodnie.

— Po cichu — napomniał go ponownie Arkalion. — Pośpiesz się. — Arkalion zniknął.

— No cóż — powiedział sobie Temple. — I co teraz? Przynajmniej w innych snach byłem na tyle wprowadzony w sprawy, że wiedziałem, co mam robić. — Potarł ponuro szczękę. — Nie żeby przyniosło to coś dobrego, przynajmniej za pierwszym razem.

Temple szturchnął stopą uchylone częściowo drzwi, otwierając je. Dwie postaci w białych fartuchach stały plecami do niego, pochylone z uwagą nad stołem i Zofią. Nie do końca zdając sobie sprawę z motywów, dla których miał to zrobić, Temple wskoczył do pomieszczenia, chwycił bliższą postać za ramię i obrócił ją do siebie. Zaskoczenie i zmieszanie zaczęło zmieniać szorstkie rysy twarzy stojącego przed nim człowieka, ale oczy rozmyły mu się, gdy pięść Temple'a uderzyła go w szczękę ze straszliwą siłą. Mężczyzna upadł.

Drugi ze stojących odwrócił się, wyrzucając z siebie strumień czegoś, co musiało być rosyjskimi inwektywami. Odparował lewą ręką szybki cios Temple'a, uderzając sierpem prawą pięścią w twarz Amerykanina i niemalże kończąc walkę prawie tak szybko, jak się zaczęła. Temple upadł na podłogę i mgliście zobaczył obutą stopę Rosjanina unoszącą się nad jego twarzą. Wyciągnął ręce, złapał but obiema dłońmi i przekręcił go. Mężczyzna wrzasnął i upadł, a potem tarzali się po podłodze, zadając sobie kolejne ciosy pięściami, kolanami, łokciami, drapiąc, szarpiąc, przeklinając. Temple znalazł gardło Rosjanina, zacisnął na nim ręce i ściskał je z całej siły. Pięści waliły go po twarzy, drapały go paznokcie, ale powoli udusił Rosjanina. Kiedy Temple wstał, cały drżący, Rosjanin spoglądał niewidzącym wzrokiem w sufit. I miał dalej tak patrzeć, dopóki ktoś mu nie zamknie oczu.

Nie kwestionując niezrozumiałego, Temple wiedział, że zrobił to co musiał. Nie tracąc czasu na dociekanie motywów, których nie potrafił znaleźć, podniósł ze stołu nieprzytomną Zofię, przewiesił ją sobie przez ramię i wyszedł z nią z pokoju. Arkalion powiedział, żeby się pośpieszyć. No to pośpieszył się.

Następnym z czego zdał sobie sprawę, był statek kosmiczny. Nie pamiętając żadnego odstępu czasowego, po prostu nagle znalazł się na pokładzie statku, z Arkalionem. I Zofią.

Wiedział, że to statek kosmiczny, ponieważ był już kiedyś w jednym z nich i chociaż tutaj nie wyczuwało się nieważkości, z całą pewnością znajdowali się w przestrzeni kosmicznej. Gwiazdy, nigdy nie widoczne przez tłumiącą ich światło atmosferę, tłoczyły się w iluminatorach. Niezliczone ich falangi i legiony świeciły na tle aksamitnej czerni

głębokiego kosmosu stałym, zimnym i jasnym ogniem, w tak szalonych ilościach, że kosmos naprawdę wydawał się trójwymiarowy.

— To sen innego rodzaju — powiedziała po angielsku Zofia. — Pamiętam. Pamiętam wszystko, Kit…

— Witaj. — Czuł dziwną nieśmiałość i nieco się złościł, gdy Arkalion z trudem powstrzymał lekki chichot. — Przecież ten drugi sen nie był naszym pomysłem — zaprotestował Temple. — Kiedy już się w nim znaleźliśmy, działaliśmy... i…

— I… — weszła mu w słowo Zofia.

— I nic — dokończył za nich Arkalion. — Nie macie czasu. To jest prawdziwy statek kosmiczny, a nie ten powolny, nieudolny pojazd, którym wasi rodacy docierają na Marsa lub Jowisza.

— Nasi rodacy? — dopytywał się Temple. — A twoi, nie?

— Pozwolisz mi skończyć? Światło pełznie w żółwim tempie w porównaniu z prędkością jaką dają silniki napędzające ten statek. Temple, Zofio, opuszczamy zupełnie waszą Galaktykę.

— Takie są fakty — powiedziała Zofia. Zdobyta na Jowiszu wiedza podpowiadała jej, że podróżują na jakieś niewyobrażalne odległości. — Bez wątpienia w celu jakiejś ostatecznej rywalizacji między nami, aby zdecydować, czy ZSRR czy USA będą reprezentować Ziemię? Kit, ja… cię kocham, ale…

— Ale Rosja jest ważniejsza, co?

— Nie, tego nie powiedziałam. Całe moje szkolenie było jednak prowadzone zgodnie z tym założeniem i nawet jeśli zdaję sobie sprawę, że to była indoktrynacja, fakty nadal są takie jakie są. Gdyby twój kraj był naprawdę lepszy… ale ja przecież widziałem twój kraj tylko oczami Prawdy, jak więc mogłabym... Ja nie wiem, Kit. Daj mi pomyśleć.

— Nie musisz — oznajmił Arkalion z uśmiechem. — Gdybyście tylko pozwolili mi to wyjaśnić, zobaczylibyście, że ten konkretny kierunek myślenia, jest bez znaczenia, zupełnie bez znaczenia.

Arkalion odchrząknął.

— Dziwne, ale w dużej mierze mam taki sam problem, jak Zofia. Moja indoktrynacja była jednak o wiele bardziej subtelna. O wiele bardziej przekonująca, oparta na eonach stosowania metod propagandowych. Temple, Zofio, ci którzy zainicjowali Podróż Donikąd dla setek światów w waszej Galaktyce, zrobili to w pewnym określonym celu.

— Wiem. Aby zdecydować, kto posiądzie ich ogromną wiedzę.

— Nie. Aby znaleźć odpowiednich nosicieli w jednostronnej relacji, którą z trudem można nazwać symbiozą, która tak naprawdę jest kompletnym pasożytnictwem.

— Co?

I Zofia:

— O czym ty mówisz?

— Chore, dekadenckie, zmęczone, stare stworzenia, które uważacie za lepsze od was. Pasożyty. Potrzebują nosicieli, aby przeżyć. Ich dawni nosiciele zostali wydojeni do sucha, stali się zbyt wysoce wyspecjalizowani, i teraz są niezdolni fizycznie lub emocjonalnie, do sprostania wielu różnym wyzwaniom środowiskowym. Podróż Donikąd

polega na znalezieniu odpowiednich nowych nosicieli. I znaleźli takich. Was, z Ziemi.

— Nie rozumiem — odparł Temple, przypominając sobie wspaniałe relacje o „superchłopcach", które przekazał mu jego brat Jason. — Po prostu, tego nie rozumiem. Jak mogliśmy dać się w ten sposób oszukać? Czy ktoś by tego nie rozgryzł? A jeśli mają tę całą potęgę, o której wszyscy mówią, to i tak niewiele możemy na to poradzić.

Arkalion skrzywił się ponuro.

— W takim razie piszcie nekrolog dla Ziemi. Będziecie go potrzebować.

— Mów dalej — ponagliła Arkaliona Zofia. — Jest jeszcze coś, co chcesz nam powiedzieć.

— Zgadza się. Teza Temple'a jest sensowna. Oni dysponują ogromną potęgą. Dlatego można było tak łatwo was oszukać. Ale ich siła nie jest skoncentrowana tutaj. Takie znacznie szybsze od światła statki są ekstremalną rzadkością, ponieważ nie istnieje już ten potężny napęd. Kalkuluję, że pozostało pięć tego rodzaju statków, najwyżej. Raczej nie wystarczy to, aby zaatakować planetę, nawet dla nich. Dotarcie tutaj w inny sposób zajmuje im tysiące lat. Tysiące. Tyle samo, ile zajęło mi, gdy przybyłem na Marsa i Ziemię na początku.

— Co? — zawołał Temple. — Ty...

— Jestem jednym z nich. Zgadza się. Przypuszczam, że nazwałbyś mnie wywrotowcem, ale taką podjąłem decyzję. Pasożytnictwo jest złem, kiedy Stwórca stworzył nas na bazie symbiozy. Gdzieś po drodze, ewolucja przybrała zły obrót. Jesteśmy… potworami.

— Jak wyglądasz? — dopytywała się Zofia, gdy Temple stał jak wmurowany, kręcąc głową i mamrocząc coś do siebie pod nosem.

— Obawiam się, że nie mogłabyś mnie zobaczyć. Byłem tutaj przedstawicielem, który miał się zorientować, jak się mają sprawy, a kiedy moi rodacy dowiedzieli się, że wy na Ziemi jesteście podzieleni na dwa obozy, zdali sobie sprawę, że wcześniej oceniali wasze zdolności tylko w połowie. Razem zebrani, prawdopodobnie jesteście najwyższą cywilizacją swojej Galaktyki.

— Więc wygrywamy — powiedział Temple.

— I tak, i nie. Raczej, przegrywacie. Ziemianie staną się nosicielami. Wiesz, kto to jest kierujący z tylnego fotela, Temple? Byłbyś kierującym z tylnego fotela we własnym ciele. Myślącym, czującym, chcącym podejmować decyzje, ale niezdolnym do tego. Jedzącym, kiedy chce tego pasożyt, śpiącym na jego rozkaz, walczącym, kochającym, żyjącym w taki sposób, jak on tego chce. I ginącym, gdy zechce nowego okrycia. Och, oferują wam coś w zamian. Swoją cywilizację, swój sposób życia, swój system naukowy, ekonomiczny, społeczny. To też jest coś dobrego. Ale to nie jest tego warte. Czy wiecie, że u nich walka ekonomiczna między demokratycznym kapitalizmem a totalitarnym komunizmem zakończyła się prawie pół miliona lat temu? To, co mają teraz, to system, którego nawet nie bylibyście w stanie zrozumieć.

— No cóż — zadumał się Temple — nawet jeśli wszystko, co powiedziałeś, jest prawdą…

— Nie mów, że mi nie wierzysz?

— Nawet gdyby to była prawda i chcielibyśmy coś na to poradzić, co możemy zrobić?

— Teraz nic. Nic, tylko opóźniać sprawy, uderzając szybko i pozwalając by pięćdziesiąt stuleci czasu służyło wam jako wasza tarcza. Niszcząc jeden ze środków, przy pomocy których wasz wróg mógłby dotrzeć do Ziemi w przewidywalnym czasie, zniszczycie jego zdolność do inwazji na sto stuleci. Ciągle będzie mógł dotrzeć do Ziemi, ale tylko w taki sam sposób, w jaki wy podróżowaliście do Donikąd. Dziesięć tysięcy lat podróży kosmicznej w stanie zawieszenia życia. Widziałeś mnie kiedyś w takim stanie, Temple i mocno cię to zaskoczyło. Myślałeś, że nie żyję, ale to już inna sprawa.

— W każdym razie, zmuście moich rodaków aby najechali waszą planetę za dziesięć tysięcy lat od teraz. Jeśli Ziemia obierze właściwy kierunek rozwoju, jeśli demokracja, wolna myśl oraz indywidualna przedsiębiorczość, wygrają z totalitarną standaryzacją, tak jak myślę że się stanie, to wasi rodacy będą więcej niż równym przeciwnikiem dla dekadenckich pasożytów, które mogą, ale wcale nie muszą, mieć wystarczająco dużo inicjatywy kosmicznej, aby pokonać powolną drogę i podjąć próbę inwazji za dziesięć tysięcy lat.

— Dziesięć tysięcy lat? — spytał Temple.

— Pięć tysięcy z Ziemi do Donikąd. Odległość do mojego domu jest znacznie większa, ale tempo podróży też można zwiększyć. Dziesięć tysięcy lat.

— Powiedz mi — zażądał nagle Temple — czy to jest sen?

Arkalion uśmiechnął się.

— I tak i nie. To nie jest taki sen jak inne, gdyż zapewniam cię, że wasze ciała nie spoczywają teraz na parze takich samych białych stolików. Wciąż jak w innych snach mogą wam się przydarzać różne fizyczne rzeczy, ale teraz jak sami to zobaczycie, wy też możecie robić rzeczy jak ze snu. Na przykład, żadne z was nie zna się na skomplikowanych zagadnieniach statków kosmicznych, ale jeśli chcecie ocalić waszą planetę, musicie poznać działanie najbardziej skomplikowanego ze wszystkich statków, gigantycznej stacji kosmicznej.

— Więc nie śnimy? — zapytał Temple.

— Wcale tego nie powiedziałem. Pomyśl o tej sekwencji zdarzeń, jako o czymś mniej więcej w połowie drogi między etapem snu, który już widziałeś, a samą rzeczywistością. Pamiętaj: będziecie musieli współpracować, musicie funkcjonować jak maszyny. Będziecie obsługiwać zupełnie obce wyposażenie, tylko przy pomocy takiej wiedzy, jaka może zostać wprowadzona do waszego mózgu, aby wami pokierować.

Zofia westchnęła.

— Jako Amerykanin, Kit jest zbyt dużym indywidualistą, by pomóc w tego rodzaju sytuacji.

Temple prychnął.

— Bycie trybikiem w prostej, obejmującej całe państwo maszynie to jedno – zorientowanie się w zupełnie nowej sytuacji to coś zupełnie innego.

— Tak, to dobrze, że…

— Widzicie? — ostrzegł ich Arkalion. — Widzicie? Już się kłócicie, a przecież musicie w pełni współpracować, bez najmniejszego cienia konfliktu między wami. W obecnej sytuacji niemalże nie macie szans.

— A co z tobą? — spytała praktycznie Zofia. — Nie możesz nam pomóc?

Arkalion pokręcił przecząco głową.

— Nie. Chociaż chętnie bym zobaczył, jak wychodzicie całej z tej sprawy z jak najlepszym efektem, to nie chciałbym poświęcić za to mojego życia – co dokładnie by się stało, gdybym został z wami, a wy byście przegrali.

— A więc, przejdźmy do szczegółów. Wyobraźcie sobie że przestrzeń można ugiąć, wyobraźcie sobie że wasz upływ czasu można spowolnić, wyobraźcie sobie nowy wymiar, który likwiduje konieczność długich podróży liniowych, wyobraźcie sobie wszystko, co wam się żywnie podoba – ale jesteśmy właśnie w trakcie pokonywania dziewięciuset tysięcy lat świetlnych w przestrzeni kosmicznej. W tej odległości znajduje się wielka galaktyka, będąca prawie bliźniaczką dla waszej Drogi Mlecznej. Nazywacie ją Mgławicą Andromedy. Bliżej waszej galaktyki są dwa tak zwane Obłoki Magellana, coś innego co katalogujecie jako NGC 6822 i wreszcie Galaktyka Trójkąta. Wszystkie one mają miliardy gwiazd, ale żadna z gwiazd nie posiada życia. Aby znaleźć żywe istoty poza waszą galaktyką, musicie ich szukać w odległości prawie miliona lat świetlnych. Mój lud żyje w Andromedzie.

— Chroniąc flanki ich galaktyki, przez przestrzeń międzygalaktyczną pędzi tam z prędkością wielu lat świetlnych na minutę, coś, co można by nazwać stacją kosmiczną, ale o skali, o jakiej nigdy wam się nawet nie śniło. Ma pięć waszych mil średnicy, jest to forteca o straszliwej sile, magazyn pół miliona lat rozwoju broni. Ustalono, że tą stacją kierować będzie jeden człowiek…

— Tylko jeden? — zapytał Temple.

— Tak. Zobaczycie dlaczego, kiedy tam dotrzecie. Zaaranżowano, że człowiek ten opuści ją, rzekomo na wyprawę zwiadowczą. Widzicie, że nie jestem jedynym waszym sprzymierzeńcem w tym przedsięwzięciu. W każdym razie poinformuje on, że stacja kosmiczna została przejęta – tak jak w rzeczywistości się stanie – przez was dwoje. Jedynymi statkami zdolnymi do doścignięcia waszej stacji w locie, są te same statki, które mogą dotrzeć do waszej Galaktyki, zanim wasz rozwój cywilizacyjny da wam szansę na przetrwanie. Zaatakują was one. Macie je zniszczyć – albo sami zostaniecie zniszczeni. Czy są jakieś pytania?

To wszystko brzmiało dla Temple’a kompletnie fantastycznie. Czy los całej Ziemi mógłby spoczywać na ich barkach w zupełnie obcym środowisku? Czy można było się spodziewać, że wygrają? Temple nie miał powodu, aby wątpić w to pierwsze, choć brzmiało to na kompletny obłęd. Jeśli zaś chodzi o to drugie, mógł mieć jedynie nadzieję, że im się uda.

— Powiedz mi — spytał. — W jaki sposób nauczymy się użycia całej tej broni, którą według ciebie będziemy mieli do dyspozycji?

— Mogłabyś mu odpowiedzieć na to pytanie, Zofio? — chciał wiedzieć Arkalion.

— Hmm, tak mi się wydaje. W taki sam sposób, jak na Jowiszu wtłoczono mi do głowy wiedzę wszystkich cywilizacji.

— Dokładnie. Muszę tylko dodać, że poziom rafinacji naszej wiedzy jest o wiele wyższy, a ilość której musicie się nauczyć, w gruncie rzeczy jest mniejsza.

— Chciałabym tylko się dowiedzieć… — zaczęła Zofia.

— Zapomnij o tym. Muszę trochę się przespać, a wszystkiego co jest potrzebne, dowiecie się na stacji kosmicznej.

I potem, pomimo że jak tylko mogli dręczyli Arkaliona kolejnymi pytaniami, usiadł on w swym fotelu i zasnął. Temple nagle stwierdził, że był w stanie zrozumieć to i docenić. Sam miał ochotę zwinąć się w ciasną malutką kuleczkę i spać, do czasu aż wszystko się nie skończy, w taki czy inny sposób.

Rozdział 10

— **T**o wszystko jest takie wielkie! Tak niesamowite! Nigdy tego nie pojmiemy! Nigdy…

— Spokojnie, Zofio. Arkalion powiedział…

— Wiem, co powiedział Arkalion, ale jeszcze niczego się nie dowiedzieliśmy.

Kilka godzin wcześniej Arkalion wysadził ich na stacji kosmicznej, błyszczącej kuli o średnicy pięciu mil, i szybko odleciał. Wkrótce potem znaleźli się w istnym labiryncie tuneli, korytarzy, potężnych pomieszczeń. Od czasu do czasu mijali wielkie świecące ekrany i zawsze widoczne na nich widoki na otaczającą ich przestrzeń, były takie same. Niczym wspaniała, podłużna tarcza mieniąca się milionami milionów punkcików świetlnych, bladozłotych, połyskujących miedzią, niebieskich jak lody lodowca, srebrno-białych, Galaktyka Andromedy pokrywała przestrzeń od prawego górnego narożnika ekranu do lewego dolnego. W prawym dolnym rogu mogli zobaczyć swoją stację kosmiczną; najwyraźniej samo urządzenie widokowe znajdowało się dalej w kosmosie, przekazując obrazy na kulę stacji.

Gdy po raz pierwszy zobaczyli jeden z ekranów, będący pod wrażeniem Temple powiedział:

— Wszyscy poeci, którzy kiedykolwiek napisali choćby jeden wers, oddaliby połowę życia, aby zobaczyć widok, jaki oglądamy w tej chwili.

— I wszyscy pisarze, muzycy, w ogóle artyści…

— Każdy, kto kiedykolwiek zajmował się twórczym myśleniem, Zofio. Jak można powiedzieć, że to zapiera dech w piersiach, czy coś w tym rodzaju, kiedy żadne wypowiedziane słowa, nie są w stanie...

— Nie wpadajmy w tej chwili w poetycki nastrój — napomniała go Zofia, z uśmiechem. — Lepiej zajmijmy się naszymi przygotowaniami tutaj, zamiast podziwianiem widoczków, zanim będzie za późno

— Tak... Halo, a co to jest?

W solidnej metalowej ścianie otworzyły się dla nich drzwi w formie diafragmy. „Diafragma” to było jedyne słowo, jakie przychodziło Temple’owi do głowy, gdyż w murze pojawiła się niewielka okrągła dziura rozciągająca się równomiernie we wszystkich kierunkach powolnym, jednostajnym, niemal płynnym ruchem. Kiedy była już wystarczająco duża, aby przez nią przejść, weszli do zupełnie pustego pomieszczenia i Temple odwrócił się akurat w chwili, by zobaczyć jak przesłona wejścia zamyka się za nimi.

— Czymś tutaj pachnie — powiedziała Zofia, węsząc w powietrzu. Słodki, mdły zapach robił się coraz silniejszy. Temple usłyszał słaby syk.

— Robię się senny — powiedział.

Zofia skinęła głową i podbiegła, waląc pięściami w ścianę w miejscu, gdzie tak nagle otworzyły się, a potem zamknęły, drzwi.

Żadnej reakcji.

— Czy to pułapka?

— Przez kogo zastawiona? Po co? — Temple z trudem powstrzymywał się przed zamknięciem oczu. — Walcz z tym, jeśli chcesz, Zofio. Ja idę spać.

I przykucnął na środku podłogi, bezmyślnie wpatrując się w nagą ścianę.

Dokładnie w chwili, gdy Temple zapadał w sen o skomplikowanej maszynerii, której jeszcze nie rozumiał, ale którą wkrótce zrozumie, Zofia dołączyła do niego w bolesny sposób, upadając obok nieprzytomna i bezwładnie rozciągając się na podłodze.

Temple spał.

— **H**ej, śpiochu, wstawaj. — Zofia poruszyła się, kiedy do niej mówił i nią potrząsał. Ziewnęła, przeciągnęła się i uśmiechnęła się do niego leniwie. — Jak się teraz czujesz?

— Głodna, Kit.

— Słuszna uwaga. Ale teraz wszystko jest już w najlepszym porządku. Dokładnie wiem, gdzie są przechowywane koncentraty żywnościowe. Trzy poziomy pod nami, drugi segment ściany. Możesz otwierać, te dziwne diafragmowe wejścia, naciskając dwukrotnie ścianę, mniej więcej w odstępie jednej sekundy.

Znaleźli przedział z żywnością, odkrywając w nim całe rzędy puszek, pudełek, słoików. Temple otworzył jedną z puszek i popatrzył z rozczarowaniem na żałośnie wyglądającą zawartość, wielkości kciuka. Brązowa, pomarszczona, prawie sucha i łuszcząca się, mógł to chyba być kawałek jakiegoś ptaka.

Zofia zadarła nos.

— Jeśli to najlepsze, co to miejsce ma do zaoferowania, to nie jestem już taka głodna.

Nagle rozszerzyły jej się oczy. Podobnie Temple'owi. Uwagę ich zwrócił smakowity zapach, a unosząca się z małej puszki para spotęgowała ich zainteresowanie. Pod wpływem powietrza, z przywiędłym kawałkiem jedzenia wydarzyły się niesamowite rzeczy. Temple ledwo zdążył wyjąć go z puszki, parząc sobie przy tym palce, kiedy stał się dwa razy większy od samej puszki. Ciągle rósł i zanim przestał, wyglądał jak najsmaczniejszy pięciofuntowy kawałek drobiu, jaki Temple kiedykolwiek widział. Delikatnie upieczony, gorący, parujący, gotowy do spożycia.

Wgryźli się w niego z szalonym apetytem.

— Stephanie powinna mnie teraz zobaczyć — oznajmił Temple i natychmiast pożałował swoich słów.

— Stephanie? Kto to jest?

— Pewna dziewczyna.

— Twoja dziewczyna?

— A co za różnica. Jest teraz w odległości miliona lat świetlnych i pięćdziesięciu wieków stąd.

— Odpowiedz, jak cię pytam.

— Tak — przyznał Temple, żałując, że nie może zmienić tematu. — To moja dziewczyna.

Od dawna już nie myślał o Stephanie, być może dlatego, że rozmyślanie o kimś martwym od pięćdziesięciu wieków, nie miało specjalnie sensu. Jednak teraz, gdy myśli te zostały w nim poruszone, uznał je za przejmująco przyjemne.

— Twoja dziewczyna… i poślubiłbyś ją, gdybyś mógł?

Przywiązał się do Zofii, nie w rzeczywistości, ale w drugim z ich wyśnionych światów. Żałował, że wspomnienie tego snu przetrwało, bo przeszkadzało mu ono. Kochał w nim Zofię tak bardzo, jak teraz kochał Stephanie, chociaż ta druga była już tylko odrobiną pyłu i to od pięciu tysięcy lat. A ile pozostało w nim ze snu, w jego głowie i sercu?

— Zapomnijmy o tym — zasugerował Temple.

— Nie. Gdyby była tu dzisiaj z nami i gdyby wszystko było normalnie, ożeniłbyś się z nią?

— Po co rozmawiać o czymś, co jest niemożliwe?

— Chciałabym wiedzieć, dlatego.

— No, dobrze. Tak, zrobiłbym to. Ożeniłbym się ze Stephanie.

— Och — powiedziała Zofia. — W takim razie to, co wydarzyło się we śnie, nic nie znaczyło… zupełnie nic.

— Ja, wtedy i teraz, jesteśmy dwoma różnymi ludźmi — powiedział chłodno Temple, po czym pożałował, że to zrobił, bo była to jedynie półprawda. Doskonale pamiętał wszystko odnośnie snu, który był czymś więcej niż tylko snem. Był o wiele bliżej z Zofią i przez dłuższy okres czasu, niż kiedykolwiek ze Stephanie. I nawet, chociaż było to niemożliwe, ale gdyby jednak Stephanie pojawiła się tutaj i resztę swojego życia spędził z nią jako jej mąż, to jednak nigdy by nie zapomniał o swym wyśnionym życiu z Zofią. Z czasem mógł jej to wszystko powiedzieć. Ale nie teraz; teraz najlepszą rzeczą, jaką mógł zrobić, to zmiana tematu.

— Rozumiem — odpowiedziała mu chłodno Zofia.

— Nie, nie rozumiesz. Może któregoś dnia to się stanie.

— Nie ma nic do powiedzenia, prócz tego, co mi powiedziałeś, rozumiem.

— Nie… zapomnijmy o tym — powiedział jej ze znużeniem.

— Oczywiście. To w końcu i tak był tylko sen. W poprzednim śnie, przecież prawie cię zabiłam z nienawiści. Miłość i nienawiść, jak sądzę, neutralizują się nawzajem. Jesteśmy tylko parą ludzi, którzy muszą razem wykonywać pewne zadanie, to wszystko.

— Na litość boską, Zofio! To nieprawda. Kochałem Stephanie. Nadal żyłbym ze Stephanie. Ale ona jest tak samo niedostępna jak królowa Saby.

— I co z tego? Jest takie powiedzenie – stara miłość nie rdzewieje.

Prawdopodobnie, jak Temple zdawał sobie sprawę, była to prawda. Ale co to wszystko miało wspólnego z Zofią? Gdyby on i Zofia… jeśli oni… czy byłoby to sprawiedliwe wobec Zofii? Przecież to dokładnie tak, jakby

wdowiec ponownie się ożenił, utrzymując w sercu pamięć o swojej pierwszej żonie... nie, inaczej, ponieważ on nigdy nie ożenił się ze Stephanie, i zawsze pozostanie w nim pragnienie przeżycia tego, co się nigdy nie wydarzyło.

— Porozmawiajmy o tym innym razem — prawie błagał Temple, pragnąc chwili wytchnienia zarówno dla siebie, jak i dla Zofii.

— Nie. Nigdy o tym nie będziemy rozmawiać. Ja nie będę tą drugą najlepszą, Kit. Zapomnijmy o tym i zajmijmy się naszą pracą.

Temple poczuł się jak kompletny łajdak. Jednak, poza wszystkim, całej sprawy nie poukładał sobie jeszcze sam, w swoim umyśle. Ale nie mogli tego tak po prostu zostawić, nie w sytuacji gdy któremuś może coś się stać, kiedy przybędą tu statki i jedno z nich lub oboje mogą zginąć. Niezgrabnie, bo teraz czuł się skrępowany tym wszystkim, objął Zofię, przyciągnął ją do siebie, przycisnął usta do jej ust.

To było wszystko, co mógł zrobić. Wyrwała się i odsunęła od niego.

— Jeśli spróbujesz tego ponownie, po raz kolejny będziesz miał zwichniętą szczękę.

Temple wzruszył ramionami ze znużeniem. Jeżeli coś między nimi miało zostać rozwiązane, będzie to musiało być później.

Kiedy chwilę potem przybyły statki – siedem, a nie pięć, jak przewidywał Arkalion – byli zupełnie nieprzygotowani.

Temple dostrzegł je jako pierwszy, na jednym z ekranów, w połowie drogi między odbiornikiem obrazu a samą stacją kosmiczną, jak rysowały się na tle podłużnej tarczy Andromedy. Wyleciały z pola widzenia, pojawiły się ponownie kilka minut później, zbliżając się z innego kierunku w dwóch falach, złożonych z czterech i trzech statków.

— Chodźmy! — krzyknęła przez ramię Zofia, otwierając diafragmę drzwi i wypadając z pomieszczenia. Temple podążył za nią, ale wytrenowane na Jowiszu mięśnie poruszały jej gibkimi nogami, długimi, mocnymi krokami i wkrótce go wyprzedziła. Zanim dotarł bez tchu do komory uzbrojenia, siedziała już na stanowisku działa, naciskając palcami urządzenia nim sterujące.

— Obserwuj ekran i mów mi, jak nam idzie — powiedziała Zofia, nie odrywając oczu od tarcz i dźwigni.

Temple obserwował, zafascynowany, i dostrzegł cienki jak ołówek ślad energii promienistej, strzelający w kosmos, mijając jeden ze statków w odległości wyglądającej na kilka mil. Wykrzyknął jej azymut poprawki, wcale nie zdziwiony sposobem, w jaki jego umysł wchłonął i teraz mógł wykorzystać nowo pozyskaną wiedzę.

Temple rozumiał, a jednak nie rozumiał. Na przykład wiedział, że na stacji jest obecnie tylko jedno działo, które obsługuje Zofia, ale pod pewnymi względami nie miało to sensu. Czy mogło ono objąć wszystkie sektory kosmosu? Jego umysł dostarczył mu odpowiedzi, chociaż jeszcze przed chwilą nie był świadom tej wiedzy: tak. Stacja kosmiczna nie obracała się tak po prostu. Jej powierzchnia była sferyczną projekcją poruszającej się wstęgi Moebiusa i chociaż próbował wyobrazić sobie tę koncepcję, nie udało mu się to jednak. Działo mogło strzelać w dowolne

miejsce w przestrzeni w dwudziestosekundowych odstępach, celując w dowolny wybrany punkt, przy następnym strzale.

Zofia znów wystrzeliła, i Temple obserwował, jak cienki promień przeskakuje przez kosmos.

— Trafienie! — ryknął. — Trafienie!

Coś błysnęło na przednim krańcu statku prowadzącego. Światło oślepiło go, ale kiedy ponownie mógł widzieć, w kosmosie pozostało już tylko sześć statków rzucających swe cienie na Galaktykę Andromedy! Temple uświadomił sobie triumfalnie, że źródło światła jest poza obszarem widzenia, ale mógł je sobie wyobrazić – świecący wrak statku, wyrzucający w próżnię ciepło, światło i radioaktywność.

— Jeden mniej — zawołała Zofia. — Jeszcze sześć. Jak ja lubię te twoje stare powiedzenia. Jak do siedzących kaczek…

Nie skończyła. Nagle wszędzie wokół nich zapłonęło światło. Coś zawyło w uszach Temple'a. Komora zadrżała, zatrzęsła się. Dźwigary upadły z brzękiem na podłogę, wypalając ją, odsłaniając czarną skałę. Zofia została odrzucona od działa, uderzając o ścianę, wylatując w powietrze i lądując na brzuchu.

Temple podbiegł do niej, odwrócił ją. Krew rozmazała się jej na twarzy, ściekała z ust. Chociaż się nie ruszała, nie umarła jednak. Temple na wpół ciągnąc ją, na wpół niosąc, zabrał ją z komory do sąsiedniego pomieszczenia. Położył ją wygodnie, na ile mógł, na podłodze, i wbiegł z powrotem do komory uzbrojenia.

Stopiony metal zebrał się w jednym z rogów pomieszczenia, powoli pełzł w jego stronę po podłodze, rozgrzewając ją do białości. Ominął go, wspiął się po skręconej belce, przecisnął się obok innych szczątków i znalazł się na stanowisku działa.

— Jak mogłem być taki głupi? — powiedział głośno Temple. — Zofia pobiegła do działa, musiała założyć, że ustawiłem osłonę.

Znowu była to informacja składowana w jego umyśle dzięki mądrości stacji kosmicznej. Pola ochronne sprawiały, że nic innego, jak tylko bezpośrednie trafienie w stanowisko działa, mogło im zaszkodzić, tyle że Temple w ogóle nie ustawił osłony. Zrobił to teraz, po prostu opuszczając zestaw dźwigni, ale patrząc na tarczę przyrządu po lewej stronie, z niepokojem uświadomił sobie, że szkoda prawdopodobnie już została wyrządzona. Igła, która mierzyła poziom śmiertelnego promieniowania, zatrzymała się w połowie drogi między obszarem negatywnym a krytycznym, zaznaczonym na czerwono, i nawet w chwili gdy Temple ją obserwował, podkradała się coraz bliżej czerwieni.

Ile miał czasu? Temple nie był pewien, pochylił się ponuro nad działem. Jego umysł nie zawierał wiedzy na temat obsługi działa, było ono również zupełnie nieznane jego palcom. Bawił się nim, wystrzelił wiązkę promienistej energii i odwrócił się w stronę ekranu. Promień wystrzelił w pustkę, wyraźnie setki mil od jakiegokolwiek celu.

Klnąc Temple spróbował ponownie, tym razem zaliczając niewielkie pudło. Statki zalewały go teraz stałym strumieniem ognia, ale przy podniesionej osłonie ostrzał był zupełnie nieszkodliwy, wiązki uderzały w pole, a następnie odbijane były przez nie z powrotem w kosmos. Temple zaliczył swoje pierwsze trafienie, pięć minut po tym, jak usiadł przy broni, triumfalnie wrzasnął i ponownie wystrzelił. Zostało pięć statków.

Ale tarcza wskazywała na wzrost radioaktywności, ponieważ nowo tworzone neutrony rozprzestrzeniały swą truciznę jak rak. Za Templem komora zmieniła się w jatkę. Kałuża stopionego metalu powiększała się, prawie odcinając mu możliwość ucieczki. Mógłby ją jeszcze przeskoczyć, uświadamiał sobie Temple, ale może się ona powiększyć. Konsolidując teraz zagarnięty przez strumyki teren, wypełniała ona dziurę w podłodze, zaczęła odparowywać skałę poniżej, sycząc i chlupocząc z rozpalonym do białości uporem.

Coś huknęło, zazgrzytało, ponownie łupnęło i Temple zobaczył, jak jakiś kolejny dźwigar odbija się od podłogi, zanurza jednym końcem w roztopionej sadzawce i z grzechotem toczy się dalej. Najwyraźniej szkody były rozległe; strukturalne uszkodzenia groziły zawaleniem całego sufitu.

Temple znowu wystrzelił, dostał kolejny statek. Niemal czuł oddech śmierci na swoim ramieniu, nie śpieszącej się, ale pewnej swojej nagrody. Wystrzelił z działa.

Jeśli pozostanie choćby jeden statek, kiedy nie będą mogli już strzelać z działa, przegrają. Jeden statek może mieć ogromne znaczenie dla Ziemi. Jeden statek...

Pozostały trzy. Dwa.

Ostrzeliwały stację kosmiczną wiązka za wiązką – na próżno. Obracały się, wykręcały i przemykały obok niej, starając się utrudniać celowanie. Temple czekał na swoją szansę... i zerkał na tarczę przyrządu mierzącego radioaktywność. Krzyknął, poderwał się na chwilę. Igła dotknęła czerwonego obszaru. Jeśli pozostanie tu gdzie był, dłużej niż chwilę lub dwie, czekała go śmierć. Nie szybka śmierć, ale raczej powolna i ciężka. Mógł zrobić to co musiał, a potem umrzeć kilka godzin później. Jego życie – za Ziemię? Gdyby Arkalion znał wszystkie odpowiedzi, i gdyby udało mu się wcześniej zestrzelić oba statki i gdyby nie było innej alternatywy dla obcych, pasożytów... Temple ponownie przeszył kosmos cienką jak ołówek wiązką, trafił szósty statek, a następnie zobaczył, że igła całkowicie weszła na czerwony obszar. Wstał, drżący, cofnął się, na wpół potykając się o leżącą belkę, wbijając z fascynacją wzrok w ekran. Siódmy statek był poza zasięgiem, przyczaił się gdzieś w próżni, czekając na swoją szansę. Gdyby Temple odszedł od działa, statek mógłby zbliżyć się na tyle blisko, by trafić w samo stanowisko, pomimo osłon ochronnych. No cóż, pozostanie tutaj było samobójstwem – zwłaszcza że statku nie było nawet nigdzie widać.

Temple przeskoczył nad roztopioną kałużą i opuścił komorę uzbrojenia.

Zobaczył, że Zofia poruszyła się i siada.

— Co mnie trafiło? — powiedziała i zaśmiała się. — Coś poszło nie tak, Kit... co ...?

— Teraz już wszystko jest w porządku — powiedział jej, kłamiąc.

— Wyglądasz blado.

— Dostałaś jeden. Ja zniszczyłem pięć. Został jeszcze jeden statek.

— Na co czekasz? — Zofia zerwała się na równe nogi, kierując się do komory.

— Stój! — warknął Temple. — Nie wchodź tam.

— Czemu nie. Dopadnę ten ostatni statek i…

— Nie wchodź tam! — Temple szarpnął ją za ramię, odciągnął ją od komory działa i jej zepsutych drzwi, których przesłona już się nie zamykała.

— O co chodzi, Kit?

— Ja… sam chcę wykończyć ten ostatni statek, to wszystko.

Zofia wyrwała się, doszła do okrągłych drzwi i zajrzała do środka.

— Jak w Piekle Dantego — stwierdziła. — Mówiłeś mi, że nic się nie stało. No cóż, możemy dostać się do stanowiska, Kit.

— Nie. — I znowu ją zatrzymał.

On przynajmniej przez całe życie żył wolny, chociaż był jeszcze młody i nie chciał umierać. Zofia nigdy dotąd nie zaznała wolności i nie byłoby dobrze, gdyby zginęła, nie smakując jej owoców. Przeżył miłość, teraz pokrytą pyłem pięćdziesięciu stuleci, ale pozostała mu przeszłość i wspomnienia. Zofia miała tylko przyszłość. Ewidentnie, jeśli ktoś musiał oddać swe życie, powinien to zrobić Temple.

— Tam jest gorzej, niż się wydaje — powiedział cicho, znów odciągając ją od drzwi. Wyjaśnił jej co się stało, powiedział jej, że radioaktywność nie osiągnęła jeszcze punktu krytycznego – co było kłamstwem. — A więc — zakończył — marnujemy teraz czas. Jeśli tam wbiegnę, wystrzelę i ucieknę, wszystko będzie dobrze.

— W takim razie pozwól mi to zrobić. Jestem szybsza niż ty.

— Nie. Ja, jestem lepiej obznajomiony z bronią. — Śmierć nie byłaby taka zła, gdyby poszedł tam z rozsądną dozą pewności, że ocalił Ziemię. Żaden człowiek jeszcze nigdy nie umarł za coś tak ważnego, pomyślał przez chwilę Temple, po czym poczuł zimny strach, gdy zdał sobie sprawę, że śmierć jest śmiercią i zawsze umiera się tak samo. Zdusił to i powiedział: — Zaraz wracam.

Zofia spojrzała na niego, uśmiechając się lekko.

— W takim razie nalegasz, żeby to zrobić?

Kiedy skinął głową, powiedziała mu:

— A więc… pocałuj mnie. Pocałuj mnie teraz, Kit – na wypadek gdyby coś…

Gwałtownie przyciągnął ją do siebie, siniacząc jej usta swoimi.

— Zofio, Zofio…

W końcu odsunęła się do tyłu.

— Kit — powiedziała, uśmiechając się skromnie. Wzięła jego prawą dłoń w swą lewą, przytrzymała ją i ścisnęła. Jej własna prawa ręka nagle uniosła się z talii, dłoń zacisnęła się w pięść, wbijając się w jego szczękę.

Temple upadł u jej stóp, na wpół oszołomiony ciosem. Przez jedno uderzenie serca obserwował, jak Zofia powoli zbliża się do okrągłych drzwi, a potem pozbierał się na nogi i pobiegł za nią. Położył ręce na jej ramionach i zatrzymał ją.

Kiedy się odwróciła, zobaczył, że płacze.

— Przepraszam, Kit. Nie mógłbyś mnie oszukać co do… Stephanie. Nie jesteś w stanie oszukać mnie w tej sprawie. — Tym razem zastosowała większe ramię siły. Cofnęła się, wymachując swoją małą, twardą pięścią z barku. Uderzyła Temple'a prosto w punkt, z siłą wytrenowanych na Jowiszu mięśni. Temple oderwał się od podłogi i wylądował z hukiem na plecach. Jego ostatnia myśl o Zofii – albo o czymkolwiek, przez kilka najbliższych chwil – sprawiła, że tracąc przytomność, uśmiechnął się lekko. Jeśli jeszcze raz spróbuje pocałunku, obiecała mu kolejne zwichnięcie szczęki i dotrzymała obietnicy ...

Później, jak długo później – nie wiedział, coś miękkiego tuliło mu głowę. Otworzył oczy i popatrzył przez wirującą, kłębiącą się ciemność. Skupił się i zobaczył Arkaliona. Nie – dwóch Arkalionów stojących w oddali i obserwujących go. Przekręcił się, wiedząc, że jego głowa spoczywa na kolanach kobiety. Westchnął, próbował usiąść, ale nie udało mu się. Miękka dłoń musnęła jego czoło, policzki. Pojawiła się twarz, lecz zamglona.

— Zofio — mruknął. Jego wzrok się przejaśnił.

To była Stephanie.

— **T**o już koniec — powiedział Arkalion. — Jesteśmy w drodze powrotnej na Ziemię, Kit.

— Ale statki…

— Wszystkie zniszczone. Jeśli moi rodacy będą chcieli tu lecieć przez dziesięć tysięcy lat, niech spróbują. Mam przeczucie, że Ziemia będzie gotowa na ich przybycie.

— Dotarcie do Donikąd zajęło nam pięć tysięcy — zastanawiał się Temple. — Powrót zajmie kolejne pięć tysięcy. Ledwie zdążymy ostrzec Ziemię.

— Błąd — powiedział Arkalion. — Nadal mam swój statek. Jesteśmy w tej chwili na jego pokładzie, więc dotrzesz na Ziemię z prawie pięćdziesięcioma stuleciami zapasu. Dlaczego jednak o tym nie zapomnisz? Jeśli postęp ludzkości przez następne pięć tysięcy lat dorówna temu, co działo się przez ostatnie pięć tysięcy, pasożyt nie będzie miał szans.

— Ziemia – pięć tysięcy lat w przyszłości — oznajmiła z rozmarzeniem Stephanie. — Zastanawiam się, jaka ona będzie… Nie bądź taki zaskoczony, Kit. Wzięłam udział w pilotażowym badaniu, odnośnie możliwości wysłania kobiet w Podróż Donikąd. Gdyby mi się udało,

zostałyby wysłane także inne kobiety. Ale teraz nie będzie już takiej potrzeby.

— Nie byłbym tego taki pewien — powiedział prawdziwy Alaric Arkalion III. Podejrzewam, że wiele osób poczuje się tak samo jak ja. Dlaczego nie wyruszyć i nie skolonizować kosmosu. Możemy to zrobić. Cudownie będzie znów mieć pogranicze… Przecież na każdego, takiego jak mój ojciec, pojawi się kilkunastu nowych miliarderów. To dobre dla gospodarki.

— A więc, jeśli nie polubimy Ziemi — zauważyła Stephanie, — zawsze możemy polecieć w kosmos.

— Mam silne podejrzenia, że tobie się ona spodoba — powiedział sobowtór Arkaliona.

Alaric III uśmiechnął się.

— A co z tobą, kolego? Nie chcę, żeby mój brat bliźniak kręcił się przez cały czas po okolicy.

Arkalion uśmiechnął się do niego.

— A co chcesz, żebym zrobił, młody człowieku? Opuściłem swój lud. To jest teraz moje ciało. Umówmy się tak: obiecuję, że zawsze będę na innym kontynencie. Ziemia nie jest aż taka mała, żebym nie mógł wskoczyć w twoje buty.

Temple usiadł prosto, poczuł opatrunek na swojej szczęce. Uśmiechnął się do Stephanie, powiedział jej że ją kocha i mówił to szczerze. Było dokładnie tak, jakby wróciła z grobu, i w pierwszym uniesieniu nawet nie pomyślał o Zofii, która zginęła samotnie w głębinach kosmosu, aby Ziemia mogła żyć dalej...

Zwrócił się do Arkaliona.

— Zofia?

— Znaleźliśmy ją martwą, Kit. Ale uśmiechała się, jakby wszystko to było tego warte.

— To powinienem być ja.

— Kimkolwiek była Zofia — powiedziała Stephanie, — musiała być cudowną kobietą, ponieważ kiedy się obudziłeś, kiedy przyszedłeś do siebie, jej imię…

— Zapomnij o tym — przerwał jej Temple. — Zofia i ja mieliśmy bardzo dziwne stosunki i…

— W porządku, powiedziałeś, żebym o tym zapomniała. Już zapomniałam. — Stephanie uśmiechnęła się do niego. — Kocham cię tak bardzo, że nie ma we mnie nawet miejsca na zazdrość... Ummm... Kit…

— Wyjdźcie z tego klinczu — polecił Arkalion. — Zrobimy jeszcze przystanek w Donikąd, aby zabrać wszystkich, którzy chcą wrócić na Ziemię. Niektórzy z nich prawdopodobnie nie będą chcieli, ale ci, którzy to zrobią, będą mile widziani...

— Jason zostanie — przewidywał Temple. — Będzie przywódcą wśród gwiazd.

— No to będzie musiał wspinać się po moich plecach — przepowiedział radośnie Alaric II, wpatrując się łapczywie w port widokowy.

Szczęka Temple'a pulsowała bólem. Był zmęczony i senny. Ale zadowolony. Zofia nie żyła i dlatego był smutny, lecz w głębi jego serca zawsze będzie miejsce na wspomnienie tej wspaniałej, w pewnym sensie

egzotycznej kobiety. Nie takiej miłości, jak Stephanie, nie tak czułej, nie tak pewnej... Jednak uczucie do Zofii było zupełnie wyjątkowe. I ilekroć obcość Ziemi z odległej przyszłości będzie Temple'a przerażać, ilekroć będzie czuł że sytuacja może go przerastać, ilekroć będzie wątpił w swój osąd, będzie wspominać tę wysoką, gibką dziewczynę, która poszła na śmierć, aby świat mógł cieszyć się wolnością, której sama ledwie posmakowała. I razem ze Stephanie będzie w stanie zrobić wszystko.

Chyba że, pomyślał sennie, zasypiając z głową opartą na kolanach Stephanie, przez resztę życia będzie leczył rozbite szczęki.

KONIEC